

<http://misyjnym-szlakiem.pl>

MISYJNYM SZLAKIEM

JEZUICKI INFORMATOR MISYJNY

2018/1(17)

ISSN 2083-151X



**DZIAŁALNOŚĆ MISYJNA JEZUITÓW
PROWINCJI POLSKI POŁUDNIOWEJ**



Życzenia świąteczne	3	<i>Br. Józef Boroń SJ</i> Początki polskiej misji w Chingombe. Ojciec Jan Lazarewicz SJ, część I.....	20	
DZIAŁALNOŚĆ MISYJNA JEZUITÓW PROWINCJI POLSKI POŁUDNIOWEJ				
MADAGASKAR				
<i>O. Tadeusz Kasperczyk SJ</i> Moja codzienność w malgaskim buszu	4	WSPÓLCZEŚNI MISJONARZE		
MALAWI				
<i>O. Gerard Karas SJ</i> Działalność katolickich studentów w Lilongwe	6	<i>O. Tadeusz Świdorski SJ</i> Jezuici wracają na farmę.....	25	
UKRAINA				
<i>O. Henryk Dziadosz SJ</i> Kaplica Męczenników represji stalinowskich	8	<i>O. Jakub Maria Rostworowski SJ</i> Drodzy przyjaciele misji.....	26	
<i>O. Henryk Dziadosz SJ</i> Drugie przyjście Jezusa. Ikona według Kiko Arguello	9	ŚLADAMI BŁ. JANA BEYZYMA		
ZAMBIA				
PIONIERZY MISJI ZAMBIJSKIEJ. SYLWETKI MISJONARZY				
<i>O. Wiesław Krupiński SJ</i> Brat Franciszek Ŭberman SJ i jego dzieło misyjne, część II	11	<i>O. Mieczysław Bednarz SJ</i> Gorliwość ojca Jana Beyzyma SJ o dusze	28	
Brat Józef Boroń SJ – misjonarz, farmer, literat i historyk.....	15	<i>O. Mieczysław Bednarz SJ</i> Pokora ojca Jana Beyzyma SJ	30	
<i>Br. Józef Boroń SJ</i> Polska pieśń religijna na Czarnym Łądzie. Ojciec Stanisław Hankiewicz SJ.....	17	PROJEKTY MISYJNE		
WODA DLA AFRYKI				
<i>O. Elias Bboloka Bubala Nchimunya SJ</i> Odwiarty studni głębinowych i instalacja pomp ręcznych w Mumbwa				32
<i>Caston Mukanu</i> Smak wody w Himukululu.....				33
KOŚCIÓŁ NA MADAGASKARZE				
<i>Ks. Henryk Sawarski</i> Odbudujmy kaplicę zmiecioną przez cyklon.....				38
LISTY Z KRAJÓW MISYJNYCH				
PROŚBY				
List biskupa.....				42
<i>O. Parfait Raderandrany</i> Cyklon Ava				43
PODZIĘKOWANIA				
<i>Teresa Razafindraketaka</i> Podziękowanie				44
KONKURS LITERACKI BŁOGOSŁAWIONY JAN BEYZYM				
<i>Jakub Szlachcic</i> Żołnierz.....				45
WSPÓŁPRACA W DZIAŁALNOŚCI NA RZECZ MISJI				
<i>S. Mariola Małgorzata Syjud</i> Koleżnicy misyjni w Buczynie 2018.....				47
LISTY DZIECI				
MADAGASKAR				48
ZAGADKI I REBUSY DLA DZIECI				50

WYDAWCA



**Pismo Referatu Misyjnego
Prowincji Polski Południowej
Towarzystwa Jezusowego**
ul. Kopernika 26, 31-501 Kraków
<http://misyjnym-szlakiem.pl>
<http://misje-jezuickie.pl>
<http://adopcjaserca.org.pl>
<http://beyzym.pl>
e-mail: misje@misyjnym-szlakiem.pl
procmisspme@gmail.com
„Adopcja Serca”: adopcjasercams@gmail.com

nakład: 5 000 egz.

Zespół redakcyjny: Paulina Dąbrowska-Dorożyńska (red.),
Joanna Nowak (rubryka dla dzieci),
Andrzej Sochacki (opracowanie graficzne),
Katarzyna Stokłosa (red. i korekta),
Czesław H. Tomaszewski SJ (red. naczelny)

Zdjęcia: H. Dziadosz SJ, G. Karas SJ,
T. Kasperczyk SJ, A. Leśniara SJ,
P. Raderandrany, C. Rasoanjanahary,
M. Ratsikiniony, T. Razafindraketaka,
J.M. Rostworowski SJ, H. Sawarski,
M.M. Syjud, T. Świdorski SJ,
Archiwum Radia Chikuni,
Archiwum Prowincji Zambia-Malawi,
Archiwum Prowincji Polski Południowej
Towarzystwa Jezusowego

Po upływie szabatu Maria Magdalena, Maria, matka Jakuba, i Salome nakupiły wonności, żeby pójść namaścić Jezusa. [...] Weszły więc do grobu i ujrzały młodzieńca siedzącego po prawej stronie, ubranego w białą szatę; i bardzo się przestraszyły. Lecz on rzekł do nich: „Nie bójcie się. Szukacie Jezusa z Nazaretu, ukrzyżowanego; powstał, nie ma Go tu. Oto miejsce, gdzie Go złożyli. Lecz idźcie, powiedzcie Jego uczniom i Piotrowi: «Idźcie przed wami do Galilei, tam Go ujrzycie, jak wam powiedział»”. One wyszły i uciekły od grobu; ogarnęło je bowiem zdumienie i przestach. Nikomu też nic nie oznajmiły, bo się bały (Mk 16,1.5-8).

**CHRYSZTUS ZMARTWYCHWSTAŁ!
PRAWDZIWIE ZMARTWYCHWSTAŁ!
ALLELUJA!**

To tylko tradycyjne pozdrowienie wypowiedziane w Wielkanoc czy jednak wyraz autentycznej wiary i przekonania, że Chrystus prawdziwie zmartwychwstał?

W tym roku Ewangelia na dzień Zmartwychwstania wspomina trzy niewiasty, które po szabacie, wczesnym rankiem, w pierwszy dzień tygodnia, zaopatrując się w wonności, spieszą do grobu, aby namaścić ciało Jezusa. Wbrew ich oczekiwaniu grób zastają pusty. Przerazone widzą Młodzieńca (Anioła), który zapewnia je, że Jezus żyje, że zmartwychwstał. Młodzieniec powierza im misję pierwszych zwastunek Zmartwychwstania, mówiąc: „Idźcie, powiedzcie Jego uczniom i Piotrowi: «Idźcie przed wami do Galilei, tam Go ujrzycie, jak wam powiedział»”. One jednak przerażone tym, co zastały, bojąc się ewentualnych następstw, uciekają od grobu. I jak kończy Ewangelista: „Nikomu też nic nie oznajmiły, bo się bały”.

Czy my dzisiaj nie jesteśmy podobni do tych uciekających niewiast? Czy przestraszeni współczesnymi problemami, uwikłani w polityczne i społeczne tendencje nie boimy się jasno opowiedzieć, po czyjej stronie jesteśmy? Czy jesteśmy po stronie wiary? Czy wierzymy w Zmartwychwstałego? Czy jasno mówimy współczesnemu światu, że Jezus Chrystus, który został zabity za nasze grzechy, prawdziwie zmartwychwstał i żyje? Oczywiście nie chodzi o głoszenie prawdy wielkanocnej jedynie słowami. Chodzi o autentyczne przyznawanie się, że jesteśmy uczniami Zmartwychwstałego Chrystusa. Chodzi o świadectwo dawane naszym codziennym życiem.

Prawda ta opiera się na świadectwie naocznych świadków, którzy widzieli Zmartwychwstałego, słuchali Go, spotkali się z Nim, dotykali Jego ran na stopach, dłoniach oraz w przebitym boku. I za tę prawdę nie zawahali się oddać swojego życia. Wyznając właśnie dzisiaj tę prawdę, mamy ją głosić innym również przez świadectwo życia. Mamy dzielić się tą prawdą ze wszystkimi, którzy nas słyszą, którzy na nas patrzą, ze wszystkimi ludźmi dobrej woli. Prawda o Zmartwychwstaniu ma stać się centrum naszego życia, naszych zainteresowań, naszego działania, naszej pasji. Ma być też źródłem naszych sił i radości, bo jest to prawda o zwycięstwie życia nad śmiercią.

W sekwencji wielkanocnej przed Ewangelią śpiewamy:
„Śmierć zwarła się z życiem i w boju, o dziwy,
Choć poległ Wódz życia, króluje dziś żywy. [...] Zmartwychwstał już Chrystus, Pan mój i nadzieja,



A miejscem spotkania będzie Galilea.

Wiemy, żeś zmartwychwstał, że ten cud prawdziwy,
O Królu Zwycięzco, bądź nam miłościwy”.

Niech radość ze zwycięstwa Chrystusa nad śmiercią przenika nasze życie. Chrystus zmartwychwstając, odkupił człowieka. W Chrystusie zostaliśmy powołani do najwyższej godności – godności Dzieci Bożych. Cieszymy się zatem ze zwycięstwa Chrystusa nad cierpieniem i śmiercią, nad grzechem i niesprawiedliwością. Zwycięstwem dobra nad złem. To jest dzień, który Pan uczynił! To dzień, w którym ludzie odzyskują nadzieję na zjednoczenie wokół Zmartwychwstałego. Wszelkie poniżenie, każda zraniona ludzka godność, każde zlekceważone ludzkie życie, podważone prawo do życia każdej ludzkiej istoty od pierwszych chwil poczęcia aż do naturalnej śmierci, wszystkie uciski i prześladowania muszą spotkać się z naszą wyraźną dezaprobatą. Nasza postawa jako dzieci jednego Ojca – Boga musi być jasnym i wyraźnym opowiadaniem się za życiem, za sprawiedliwością, za równością i godnością wszystkich istot ludzkich odkupionych przez Mękę i śmierć Chrystusa na Krzyżu oraz chwalebne Jego Zmartwychwstanie. Ma być postawą tych, którzy oczekują w nadziei na ostateczne przyjście Królestwa Chrystusowego.

DRODZY DARCYŃCY I PRZYJACIELE MISJI

Życzę wszystkim pokoju w sercu i radości, które przynosi nam Zmartwychwstały Chrystus. Niech Jego moc odnowi nasze serca. Niech Zmartwychwstały Pan wspiera naszą odwagę, oświeca nasz umysł, umacnia naszą wolę, abyśmy chcieli i potrafili głosić współczesnemu światu Dobrą Nowinę o Zmartwychwstaniu, którą sami przyjęliśmy i która nas wewnętrznie przemienia. Abyśmy głosili ją naszym bliźnim szczególnie poprzez naszą chrześcijańską postawę i uczynki miłosierdzia.

Wesołego Alleluja!

Ms. G. H. T. Guernsey

DZIAŁALNOŚĆ MISYJNA JEZUITÓW PROWINCJI POLSKI POŁUDNIOWEJ

MADAGASKAR

MOJA CODZIENNOŚĆ W MALGASKIM BUSZU

Tym razem chcę się podzielić z Wami, szanowni Czytelnicy, tym, co przeżywam czy odkrywam w swojej malgaskiej pracy. Bo nawet po ponad 30 latach posługi na Madagaskarze zdarzają się sytuacje czy zachowania ludzi, które mogą zaskoczyć misjonarza.

NIEZWYKŁA WALUTA

Takie słowo jak „przednówek” w polskim słownictwie istnieje, ale na pewno dla wielu nic nie znaczy. Tymczasem na Madagaskarze przednówek to bardzo częste zjawisko. Być może trudno to zrozumieć, tym bardziej że na Madagaskarze przez cały rok można sadzić i zbierać plony. A jednak mamy tu okres kilku tygodni, w czasie których składy na żywność, w tym przypadku ryż, świecą pustkami. Dlaczego? Ryż szczególnie na wsiach jest monetą, za którą wszystko można tu kupić. By sprawić dziecku ubranko czy przybory szkolne, rodzice idą do miasta z workiem ryżu. Za sprzedany towar kupują to, co najbardziej konieczne: naftę, sól, rzadziej cukier, jakąś odzież. O „słodkościach” czy mięsie nie ma już mowy.

ŻNIWA DWA RAZY W ROKU NIE ROZWIĄZUJĄ PROBLEMU

Na Madagaskarze – jak wspomniałem – ryż można uprawiać praktycznie przez cały rok, ale proble-



Miska z ryżem. Na wierzchu miarka „kapoaka”.

mem jest woda, a raczej jej brak. Trzeba też uważać, by czas kwitnięcia ryżu nie przypadł na chłodne miesiące (czerwiec, lipiec), bo wtedy kłosa będą puste. Przednówek pojawia się dwa razy w roku. Pierwszy przypada na listopad, grudzień, kiedy kończą się zbiory z maja i czerwca, a zasiew z sierpnia jeszcze nie dojrzał.

Pierwsze zbiory w sezonie są gwarantem na kolejne miesiące. By rodzina mogła „normalnie” funkcjonować, potrzeba jakiegoś kapitału, a ten w listopadzie czy grudniu jest jeszcze na ryżowisku. Od rodziny, znajomych, sąsiadów, tych, którzy mają jeszcze resztki ryżu, pożyczają się go, by oddać tyle samo po nadchodzącym zbiorze. Jednak tym razem już nie po to, by wymienić na coś innego, ale by mieć co jeść. Wystarczy jednak, że deszcz się opóźnia albo nie pada przynajmniej raz w tygodniu i wszelkie nadzieje się rozwiewają. Rolnicy z niecierpliwością wyglądają deszczu i patrzą, jak żółkną ich ryżowiska. Wiadomo – zbiory już nie będą takie, jakich by oczekiwali, a przecież trzeba oddać dług.

Drugi przednówek jest jeszcze gorszy niż pierwszy. Józef egipski miałby tu wiele do zrobienia, widząc rolników, którzy na wszelkie sposoby starają się pożyczyc kilka „kapoaka” ryżu („kapoaka” to miara używana w handlu równa objętości pudełka blaszanego po zagęszczonym mleku; 1 kg to 3,5 kapoaka).



Żniwa ryżowe.

Znalezienie pożywienia, w tym przypadku ryżu, jest – jak wspomniałem – wielkim problemem. Jednak także przygotowanie ryżu do spożycia, czyli ugotowanie go, wiąże się z pewnymi problemami. Trzeba bowiem znaleźć trochę gałęzi, by rozpaścić ogień. Ostatecznie może to być sucha trawa lub łodygi albo wymłócone kolby kukurydzy. Ale i to w naszym regionie, tj. Tsiroanomandidy, stanowi niemały problem.

OGIEN NIE ZAWSZE SŁUŻY KU DOBREMU

Ktoś, kto spędził kilka dni na Czerwonej Wyspie, szybko zrozumie, skąd ta nazwa. Większość powierzchni Madagaskaru to gleba z dużym wskaźnikiem żelaza i to właśnie ono daje wspomniany czerwony kolor. Niektóre regiony, co widać przez okienka samolotu, są aż „przesadnie” czerwone.

Nazwa ta może też mieć inne wyjaśnienie, związane z porą suchą, kiedy wszelka roślinność jest wysuszona na „trzaskę”. Wystarczy mała iskra, by dziesiątki hektarów zamieniły się w istne piekło. Nocą niebo bywa czerwone od ognia, a góry i pagórki spowite niekończącymi się płomieniami. Nie muszę chyba mówić, że to przerażający widok, nawet z dużej odległości. Oczywiście pożary te nie wynikają z samozapłonów. Powodowane są podpaleniami przez człowieka. Po kilku godzinach pożarów nie pozostaje nic, giną nawet żyjątka ukryte w ziemnych norach.

Dla Malgaszów wypalanie to jakby druga natura. Łatwiej im przekopać wypaloną ziemię pozbawioną suchych traw niż ziemię pokrytą wysokimi, suchymi trawami, chwastami czy pozostałymi po zbiorach resztkami słomy. Dlatego trudno im wytłumaczyć niszczycielską siłę tego żywiołu. Do walki z wypalaniem co roku włącza się rząd, ale jak na razie nie widać wielkich efektów.



Pożar w buszu.

KONIECZNA NAUKA: SADZIĆ, A NIE PODPALAĆ!

Pod koniec zeszłego roku zdecydowałem się na współpracę z mieszkańcami sąsiednich wiosek, którzy poszukują pracy w naszym gospodarstwie. Zaprosiłem ich na 23 grudnia, by wspólnie sadzić drzewa. Udało nam się posadzić ponad 1400 drzewek. Wiele z nich się nie przyjęło, ale widać już efekty: teren się zazielenił i z daleka widać już ponad 50-centymetrowe drzewka. Nadchodząca pora deszczowa powinna jeszcze bardziej zazielenić okolice.



Sadzenie drzew w Tsiroanomandidy.

Na koniec pracy kobiety przygotowały ryż i coś do niego, by wspólnie zakończyć nasz wysiłek. Ponieważ zbliżało się Boże Narodzenie, każda z rodzin uczestniczących w akcji otrzymała trochę ryżu, cukier, kawę i kilka cukierków dla dzieci. Wszystkich dorosłych uczestników sadzenia drzewek było ponad 140, ale i dzieci włączały się w prace. Może mało skutecznie, ale być może w ich pamięci zostanie coś z tej wspólnej akcji...

SPOSÓB NA TANIAŃ ENERGIĘ

By oszczędzać naturę, zmniejszyć wycinanie drzew i wytwarzanie węgla drzewnego, postanowiłem produkować biogaz, wykorzystując do tego odchody z naszej chlewni. To kosztowna inwestycja, ale przynosi rezultaty. W naszych kuchniach nie używamy już ani węgla drzewnego, który jest dowożony z daleka (ponad 300 km), ani drewna, a nawet pod prysznicem mamy podgrzewaną wodę. Oczywiście nie przez cały rok, bo w porze letniej szuka się raczej



Biogazownia zbudowana przez o. Tadeusza Kasperczyka w Centrum Formacji Zawodowej w Tsiroanomandidy.

wody chłodnej. Kiedy jednak temperatura jest niższa, miło wziąć ciepły prysznic... Nasze innowacje to jednak nie szukanie własnej wygody. Chcemy przez nie

przede wszystkim pokazać i zachęcić mających możliwości fizyczne i finansowe do stworzenia czegoś podobnego w ich gospodarstwach.

CHCĘ WSZYSTKIM PODZIĘKOWAĆ

Moje dzielenie się przeżyciami z Wami zajęło mi trochę czasu, bo już kilka miesięcy minęło, odkąd zacząłem pisać. Wiele się dzieje każdego dnia i nie sposób wszystkiego opisać. Kiedy zabieram się do pisania, często ktoś mi przeszkadza i odrywa mnie od klawiatury albo moja „elektrownia” słoneczna nie wydała z zapotrzebowaniem na prąd i komputer nie działa, albo jeszcze coś innego...

Kończąc, serdecznie dziękuję za pamięć: tę materialną i tę duchową, której doświadczam w mojej codzienności i bez której nie byłbym w stanie wiele zadziałać.

O. Tadeusz Kasperczyk SJ

MALAWI

DZIAŁALNOŚĆ KATOLICKICH STUDENTÓW W LILONGWE

Ubiegły rok obfitował w różne wydarzenia i imprezy zorganizowane przez studentów i dla studentów. Po udanym pierwszym krajowym zjeździe studentów katolickich w miejscowości Salima nad jeziorem Malawi nasza młodzież postanowiła pomóc „matkom”

w ich imprezie: międzynarodowej konferencji Ligi Kobiet Katolickich, która odbywała się w Lilongwe, stolicy kraju. Była to odpowiedź na pomoc, której panie z ligi udzieliły młodzieży podczas zjazdu w Salimie. To właśnie one doglądały prac w kuchni, by dla



Msza św. z biskupem w Salimie.



Zjazd kobiet katolickich.

wszystkich wystarczyło jedzenia, a także by było ono smaczne i estetycznie podane. Oprócz tego panie pomogły w dekoracji ołtarza, przy którym była sprawowana uroczysta Msza św. na zakończenie zjazdu.

Młodzież chciała okazać wdzięczność za hojną pomoc, której doświadczyła w Salimie, gdzie odbył się zjazd 400 młodych ludzi. Trzeba było ich nakarmić i zadbać o to, by na spotkaniu czuli się dobrze. My, czyli liderzy ruchu młodzieży katolickiej, nie mieliśmy pojęcia, ile żywności trzeba będzie przygotować, by nakarmić wszystkich obecnych w ciągu trzydniowej konferencji. Kobiety szybko przeliczyły, ile bochenków chleba trzeba sprowadzić, ile kilogramów ziemniaków i mąki, ile warzyw, mięsa, ryb, jaj czy innych produktów. W rezultacie wszyscy byli zadowoleni.



Podczas Mszy św.

Teraz młodzież chciała się odplacić i zaczęła zbierać środki... Studenci jednak nie pracują i nie zarabiają pieniędzy. Wszystkie fundusze potrzebne w czasie nauki otrzymują od rodziców, krewnych bądź sponsorów. Pomoc finansowa nie była więc zbyt praktycznym rozwiązaniem.

Zasugerowałem zatem prace fizyczne. Nasi młodzi ludzie potrafią się wspiąć na wysokie maszty, mogą przynieść i poustawić krzesła czy pomóc przy dekoracji. Zaproponowaliśmy więc naszą obecność i pomoc podczas zjazdu kobiet katolickich. Oferta została przyjęta z radością. Młodzież pilnowała porządku podczas zjazdu, pomagała w punkcie pierwszej pomocy i przy dekorowaniu miejsca zjazdu, brała też udział w dyskusjach konferencji. W ten sposób integrujemy różne ruchy w Kościele katolickim, by wzajemnie się poznać i wspólnie wspierać. Młodzi ludzie są aktywnie zaangażowani w działalność religijną, charytatywną i towarzyską.

W jubileuszowym Roku Miłosierdzia nasi studenci uczestniczyli w pielgrzymce do katedry biskupiej w Lilongwe. Co roku odbywają się rekolekcje akademickie dla młodzieży studiującej. Ważnym wydarzeniem są imprezy wprowadzające studentów pierwszego roku w działalność naszej organizacji. Połączone jest to często z wyjazdem w plener, przyjęciem lub nawet uroczystą kolacją. Sama młodzież przygotowuje salę, obiera ziemniaki, piecze kurczaki. Możemy się poszczycić tym, że organizacje katolickie są bardzo aktywne i widoczne na terenie uczelni. Administracja ma duże zaufanie do naszych studentów i idzie im na rękę w wielu sprawach, pomagając na przykład, kiedy potrzeba sali na spotkanie czy ma być odprawiona Msza św.



O. Gerard Karas SJ z młodzieżą.

Praca duszpasterza młodzieży akademickiej daje mi dużo radości i sporo satysfakcji, zwłaszcza kiedy widzę, że młodzi ludzie przejmują inicjatywę i wykazują dużą zaradność w trudnych nieraz sytuacjach. Mimo problemów ekonomicznych w Malawi (to jeden z najbiedniejszych krajów świata), możemy z optymizmem patrzeć w przyszłość, ufając, że młodzi katolicy zachowają ducha oddania, służby, współpracy, a przede wszystkim głębokiej wiary w obecność i pomoc Bożą. Módlmy się za nich, aby dobry Bóg prowadził ich ku lepszej przyszłości, a Chrystus Pan był światłem na ścieżce ich życia.

Za wszelką pomoc okazaną młodym ludziom przez wsparcie finansowe, modlitwę, ofiary czy słowa zachęty jestem naszym Dobroczyncom szczerze wdzięczny. Niech Pan Bóg błogosławi nas wszystkich.

Oddany w Panu

O. Gerard Karas SJ

KAPLICA MĘCZENNIKÓW REPRESJI STALINOWSKICH

Kaplicę wybudowaną w latach 2014-2017 poświęcono Polakom, którzy zostali brutalnie zamordowani w czasie represji komunistycznych od początku rewolucji październikowej w 1917 roku do pieriestrojki Gorbaczowa. W szczególny sposób represje te dotknęły Polaków zamieszkałych na Kresach w latach 1937-1938. Prześladowania Polaków z tego okresu powszechnie nazywane są „operacją polską”. Według historyków w ciągu wspomnianych dwóch lat zamordowano dwieście tysięcy Polaków (por. P. Zychowicz, „Zapomniana operacja polska”, „Do Rzeczy” nr 23/174/2015). Tego ludobójstwa dokonał na rozkaz Stalina szef NKWD Nikołaj Jeżow przy użyciu tajnych służb i wielu współpracowników.

MĘCZENNICZY ZA WIARĘ I POLSKOŚĆ

Wchodząc do kaplicy, na ścianie po prawej stronie zobaczymy instalację przedstawiającą krzyż. Jego poziome ramię to kopia Całunu Turyńskiego. Na pionowym ramieniu zostały natomiast wypisane nazwiska 1500 ofiar tych represji: mieszkańców Greczan, Płoskirowa, Szaróweczki i Maćkowiec. To jednak zaledwie mała część represjonowanych. Z niekompletnej liczby ofiar, jaką podaje nasze miejskie archiwum, takich osób jest około czterdziestu tysięcy tylko w województwie chmielnickim, nie licząc pozostałych tere-

nów Ukrainy i dzisiejszej zachodniej Białorusi, a także dziesiątek tysięcy zmarłych w czasie wielkiego głodu oraz przesiedlonych do Kazachstanu, na Syberię i tam zakatowanych. Można przypuszczać, że ofiar komunistycznych represji jest kilkakrotnie więcej. W archiwum miejskim znajdują się często takie wyroki: „Za przynależność do wrogiej, nacjonalistycznej organizacji pod nazwą «koło różańcowe» wyrok: rozstrzelać”.

Nazwiska osób pomordowanych zbierał na początku lat 90. XX wieku Józef Ziembicki, nasz parafianin, który w tym celu chodził od domu do domu i pytał o nazwiska ofiar. Wiele informacji przekazali mu potomkowie represjonowanych, którzy otrzymali dokumenty wydane w latach 60. w naszym miejskim archiwum mówiące o wyrokach skazujących na śmierć za wiarę i za polskość.

KRZYŻ NA ŚCIANIE KAPLICY

Krzyż umieszczony na trzech kręgach: złotym, brązowym i czarnym ukazuje zbawczą misję Jezusa, który oddał swoje życie za wszystkich ludzi, a dzisiaj nadal żyje w swoim Kościele, w dojrzałych chrześcijanach. Kolor złoty oznacza właśnie tych, którzy mają misję bycia światłem, solą i zaczynem (por. Mt 5,13-16) i w każdym pokoleniu wypełniają misję Jezusa, przyjmując na siebie niesprawiedliwość świata. Ko-



Kościół parafialny pw. św. Anny na Greczanach. Kaplica Męczenników represji stalinowskich.



Krzyż z kopią Całunu Turyńskiego i nazwiskami osób zabitych za wiarę i polskość.

lor brązowy oznacza tych, którzy mają być „oświeceni i posoleni”, aby mogli dostąpić zbawienia w Jezusie. Czarny kolor oznacza tych, którzy prześladowują chrześcijan i w ten sposób spełniają „misję Judasza”. Zaś męczennicy upodobniają się do Jezusa Baranka, który bierze na siebie grzechy świata (por. J 1,29). Przez postawę męczeńskiej śmierci stają się narzędziem zbawienia dla tych, którzy ich nienawidzą. Już na początku istnienia Kościoła było wielu męczenników, a pierwszy z nich – św. Szczepan – dał świadectwo prawdy słów Jezusa o ziarnie, które umiera, ale przez to przynosi owoc (por. J 12,24). Jednym z owoców męczeńskiej śmierci Szczepana było nawrócenie św. Pawła.

O owocach ofiar represji komunistycznego reżimu mówi również Droga Krzyżowa. Cierpiący niesprawiedliwie, wywożeni na Sybir i do Kazachstanu, zabijani, torturowani są Chrystusem idącym na Kalwarię. W tej drodze krzyżowej i śmierci dopełnia się tajemnica zbawienia, a jej finałem jest zwycięstwo Jezusa – Zmartwychwstanie.

IKONA SĄDU OSTATECZNEGO

Po lewej stronie kaplicy znajduje się ikona Sądu Ostatecznego. Obraz ten przedstawia ostatni moment ludzkiej historii, do którego zmierzamy. Wówczas dokona się ostateczne zwycięstwo Boga, drugie przyjście



Ikona Sądu Ostatecznego.

chwalebego Jezusa, który będzie sędził ludzi i narody. Będzie to jednocześnie zwycięstwo dobra nad złem, miłości nad nienawiścią. Sąd Ostateczny zakończy ludzką historię i rozpocznie się wieczne panowanie Boga razem z Najświętszą Dziewicą Maryją, Archaniołami i Aniołami, i wszystkimi zastępami nieba.

O. Henryk Dziadosz SJ

DRUGIE PRZYJŚCIE JEZUSA. IKONA WEDŁUG KIKO ARGUELLO

Obraz znajdujący się w Kaplicy Męczenników przedstawia drugie przyjście Chrystusa. Opiera się na tradycyjnym przedstawieniu ikony „Sąd Ostateczny” pochodzącej z 1400 roku. Autorką obrazu jest Augustyna Krasij. Autorka wzorowała się na ikonie namalowanej przez Kiko Arguello, która znajduje się w Domus Galilaeae w Izraelu, na Górze Błogosławieństw.

U góry ikony Bóg Ojciec, który stworzył wszechświat, gwiazdy i planety, trzyma Torę. Wokół Niego znajdują się kręgi, trony, panowania, archaniołowie... To stworzenie nieba i ziemi. Po prawej stronie mamy drugie przyjście Chrystusa. Przyjściu Chrystusa towarzyszą aniołowie: dwaj aniołowie zwijają wszechświat z księżycem i gwiazdami, jak zwija się pergamin. Z kolei w widocznej obok Jezusa ciemnej plamie – czarnej dziurze symbolizującej nieobecność światła – są czarni aniołowie – diabeł. Diabeł jest niczym, dlatego

jest czarny. Istnieje dla żyjących w grzechu i doświadczających nudy, czyli „martwego czasu”, który rodzi w człowieku wrażenie, że spełnia dzieła bez wartości.

Co jest wartościowe w naszym życiu? Co naprawdę jest cenne w życiu człowieka? Wszystko się kończy. Wielkie budowle mają swój koniec, kultura, książki. Wszystko przemija. Tylko jedna rzecz się nie kończy: miłość! Dobro, które czynisz swojemu bratu! Sztuka ma także swoją wartość jako pomoc w miłości.

Dalej na naszej ikonie widnieją aniołowie trzymający w swoich rękach narzędzia Męki Chrystusa. W centrum Jan Chrzciciel i Dziewica Maryja, którzy zstąpili z nieba, aby wstawiać się za narody. Są tu także Adam i Ewa, pierwsi rodzice, oraz dwunastu Apostołów, którzy będą sędzić narody. Wśród sądzonych są wskazujący na Chrystusa Żydzi, za nimi muzułmanie, a po nich wszystkie inne narody. Po prawej



Ikona Sądu Ostatecznego.

stronie ikony są też aniołowie, którzy trąbią i wzywają morze i ziemię do powstania. Dalej umarli, którzy zmartwychwstają, i ryba, która coś z siebie wyrzuca...

Na środku ukazano narzędzia Męki Chrystusa i Ewangelie. Powyżej dwaj aniołowie przekazują zwoje z życiem nagiej osobie, która symbolizuje duszę sądzoną przed tronem Męki Chrystusa. Wszyscy bowiem będą sądzeni w majestacie Miłości, która została za nas ofiarowana. To Miłość, którą otrzymaliśmy i która zmienia ludzkie życie. To człowiek decyduje, czy zmieni swoje życie. Można świadomie wybierać zło, są bowiem tylko dwie drogi: droga życia i droga śmierci. Jezus Chrystus daje nam możliwość nawrócenia i ukierunkowania naszego życia ku dobru, ku zbawieniu. Człowiek jest jednak wolny!

Pod tronem, na którym umieszczono Ewangelie, widnieje dłoń i waza ze wszystkimi łzami cierpienia na świecie, które zebrał Bóg. Cierpienie ludzkie nie jest czymś głupim i niepotrzebnym. W dłoni mamy też małe figury – to ludzie zabici w łonach swoich matek. Następnie ukazana została dusza – jej anioł stróż prze-

szkadza demonowi przechylić szalę na stronę szatana. W dalszej kolejności został przedstawiony diabeł i siedem grzechów głównych. Po lewej stronie jest Dziewica Maryja w Raju między innymi ze św. Pawłem, otwierającym bramę sprawiedliwym św. Piotrem czy Salomonem. Raj jest obrazem niebieskiego Jeruzalem.

Zgodnie z tradycją na dole ikony widnieje konstrukcja w formie chrzcielnicy. W centralnym miejscu widać tu postać przywiązaną do kolumny. Według niektórych znawców tematu to osoba żyjąca w świecie, która łączy swoje życie z rodziną, pracą, codziennymi przyjemnościami. Krótko mówiąc, to poganin, który wierzy, że prawda to owa kolumna, do której jest przywiązany, chociaż prawda jest zupełnie inna. Żyjemy w świecie, do którego przychodzi Chrystus, w którym możemy być potępieni, ale w którym jest też niebieskie Jeruzalem.

Owa figura jest bardzo ważna, ponieważ symbolizuje to, co robimy, kiedy negujemy nasze życie.

*Opracowanie o. Henryk Dziadosz SJ
na podstawie tekstu
autorstwa samego twórcy ikony
Kiko Arguello*

ZAMBIA

PIONIERZY MISJI ZAMBIJSKIEJ SYLWETKI MISJONARZY

BRAT FRANCISZEK ÜBERMAN SJ I JEGO DZIEŁO MISYJNE. CZĘŚĆ II

WĘDRÓWKA PO MISJI

KASISI I MPIMA

Po solidnym wypoczynku zabrałem się do pracy. Przede wszystkim musiałem jako tako opanować język angielski i miejscowe narzecze. Założyciel misji w Kasisi, jezuita francuski, ojciec Julian Torrend SJ, z pomocą brata Jakuba Longi SJ (Słowaka), wybudował kościół i skromny budynek mieszkalny, chociaż jak na owe czasy nowoczesny, gdyż miał jedno piętro i w sumie 10 pokoi. Były też skromne zabudowania gospodarcze – stajnia, chlewnia i kurnik. Oczywiście nie takie jak w Polsce, było to tylko ogrodzenie chroniące zwierzęta przed dziką zwierzyną. W skromnej stolarni zastałem jednego tubylca, który pomagał misji jak go nauczono i jak sam potrafił. Na jego twarzy widać było wyraźne ślady po lwich pazurach. Dowiedziałem się później, że napadnięty przez lwa zdołał się obronić siekierą, którą akurat miał pod ręką.

Pierwsze zamówienie w mojej stolarni to szafa na książki dla ojca Brunona Wolnika SJ. Zdążyłem się już zaaklimatyzować, poznałem trochę mojego towarzysza pracy, a tu po trzech miesiącach Ojciec Prefekt



Kościół w Kasisi.



kieruje mnie na inną placówkę – do Mpimy. Ale i tam długo nie zagrzałem miejsca, gdyż po dwóch miesiącach udałem się do Katondwe na miejsce brata Jakuba Stofnera SJ. Razem z ojcem Wolnikiem i dwoma tubylcami załadowaliśmy bagaże i prowiant na mały gazik i po chwili byliśmy już w drodze. Rzuciło nami jak statkiem na wzburzonym morzu. Była pora deszczowa. W rozmokłym podłożu samochód grzązał do połowy kół. Wjechaliśmy w tak fatalne grzęzawisko, że trzeba było wszystkie bagaże wyładować. Na dodatek spod kół samochodu wyrzucony został kawałek konara, który trafił Ojca Prefekta prosto w kolano. Skutek był taki, że ojciec Jan przez pewien czas utykał na uderzoną nogę.

Dotarliśmy do rzeki Luangwy. Na jej brzegu mieszkał pewien Anglik, który dbał o to, by pobliski most był zawsze przejezdny, gdyż woda niosła różne konary i gałęzie drzew. Przyjął nas bardzo serdecznie i chociaż nie miał miejsca w swoim małym domku, to jednak zaproponował nam nocleg, za co byliśmy mu bardzo wdzięczni. Nazajutrz przyплыnęli czterej Afrykańczycy na długiej łodzi. Załadowali nasze bagaże i czekali na nas. Ojciec Wolnik odprawił dwóch naszych towarzyszy, którzy po chwili odjechali naszym



Mpima, wierni przed kościołem.

samochodem. My wsiedliśmy do łodzi i z biegiem rzeki ruszyliśmy w kierunku Katondwe.

Obserwowałem brzegi rzeki i zagadnąłem ojca Jana, że faktycznie duże kłody niesie woda, bo pełno ich na brzegach. Na co ojciec roześmiał się i powiedział: „Ależ bracie, to nie są kłody, tylko krokodyle”. I w tej chwili wystrzelił z broni palnej, którą zawsze bierze się ze sobą w taką podróż. Faktycznie kłody natychmiast ruszyły do wody. Płynęliśmy bardzo ostrożnie, po pewnym czasie tubylcy skierowali łódź na płytszą wodę, obawiając się hipopotamów, gdyż łatwo mogliśmy się znaleźć na grzbiecie jednego z nich. Po pięciu godzinach wysiedliśmy na piaszczystym brzegu i pieszo ruszyliśmy do celu, który był odległy jeszcze o około trzy kilometry.

NA MISJI W KATONDWE

Na misji przywitani nas ojciec Jan Waligóra, brat Wojciech Bulak i brat Jakub Stofner. Mały dom mieszkalny, skromne zabudowania gospodarcze i ładny ogród – ofiarowany przez emigranta z Czech, pana



Dom misyjny w Katondwe.

Frantiska Bruzka – to była cała misja. W pobliskim Kapoche miała miejsce uroczystość bierzmowania. Byliśmy tam prawie cały dzień. Przełożonym tej placówki był ojciec Stefan Mazurek SJ. Ponieważ był małego wzrostu, przy czym wyglądał bardzo młodo, wziąłem go za scholastyka... I u tego ojca byłem już „spalony”, gdyż te myśli niechcący wypowiedziałem. Pierwszy raz zobaczyłem małpy, które zwinnie skakały wśród najwyższych gałęzi. Po powrocie brat Stofner oprowadził mnie po całej misji, pokazał dobrze wyposażoną stolarnię i kuźnię, które miałem objąć. Wysoki mur na około 4-5 m odgradzał teren dla zwierząt domowych, gdyż te były ciągle narażone na ataki lwów.

Pamiętam pewną historię, którą opowiadał mi brat Wojciech Pączka SJ, gdy był na tej misji. Wśród domowych zwierząt były również osły. Jeden był szczególnie uparty, nigdy nie chciał nocować w zagrodzie, lecz szedł do pobliskiego lasu i tam w zaroślach spędzał noc. Lecz pewnego dnia przypłaciłby to życiem. Z pobliskiej skarpy skoczył nań lew i tylko gęste i ostre zarośla skłoniły drapieżcę do odwrotu. Na grzbiecie osła zostały ślady ostrych pazurów. Od tej pory osioł nocował już tylko w zagrodzie.

Misja była bardzo skromna, więc szybko zaznajomiłem się z całym dobytkiem. Wkrótce okazało się, że i tutaj nie zostaną długo. Ojciec Waligóra nakłonił brata Stofnera, aby z nim pozostał. I tak też się stało. Cóż, spakowałem się i razem z ojcem Wolnikiem ruszyłem do najbardziej odległej misji w Chingombe.

W DRODZE DO CHINGOMBE

Naszym środkiem lokomocji były rowery. Część drogi przeszliśmy wzdłuż rzeki Luangwy, mijając małe poletka kukurydzy, pilnowane i strzeżone przed dzi-



Dom misyjny w Chingombe.



Polscy misjonarze i wierni przed kościołem w Kabwe.

ką zwierzyną przez uzbrojonych tubylców. Nasi tragarze wymieniali pozdrowienia w rodzimym języku. Dotarliśmy do mostu. Anglik poznawszy nas, przyjął nas serdecznie i zaprosił na skromny posiłek. Naza jutrz powrócili z rowerami do Katondwe nasi dwaj tragarze. Razem z sześcioma tubylcami szykowaliśmy się do ostatniego etapu przez góry. Tereny były bardzo dzikie. Ojciec Wolnik miał zawsze w pogotowiu broń. Nasi tragarze robili dużo hałasu, aby odstraszać dziką zwierzynę. Noce okazały się zimne, więc podtrzymywaliśmy ogień przez całą noc. Dobrze, że mieliśmy kilka koców. Przydały się na te chłodne noce.

W drodze mijaliśmy małe afrykańskie osiedla składające się z kilku słomianych chatek. Kupiliśmy u jednej gospodyni kilka jaj. Okazało się jednak, że nadają się tylko do wyrzucenia, a nie do jedzenia. Mieliśmy trochę innych zapasów: makaron, ryż, masło, konserwy i oczywiście chleb. Gotowaliśmy herbatę i po krótkich postojach na posiłki ruszaliśmy dalej. Tragarze nie jedli nic gotowanego, nawet naszych potraw nie chcieli tknąć. Żywili się tylko papką kukurydzianą zrobioną na zimnej wodzie.

Po trzech dniach góry mieliśmy za sobą, a przed nami rozciągała się piękna dolina. Humory naszych towarzyszy poprawiły się, szli śpiewając w swoim rodzimym języku. Po prawie trzydniowym marszu przez równinę dotarliśmy do Chingombe.

NOWE MIEJSCE MOJEGO PRZEZNACZENIA

Na placówce przywitani nas ojcowie Jan Lazarewicz SJ i Franciszek Tomaka SJ oraz trzej bracia: Andrzej Jędrzejczyk SJ, Franciszek Pacek SJ i Józef Boroń SJ. Z tym ostatnim byłem dziewięć miesięcy w starowiejskim nowicjacie. Ojciec Lazarewicz, mający wów-

czas 70 lat, gdy zobaczył Prefekta misji, wykrzyknął: „Mamy obłubieńca, więc pijmy, gdy odejdzie, będziemy pościć”. Obiad był smaczny, a na koniec podano lampkę wina.

Zastąpiłem dobrze zagospodarowaną misję. Mały kościółek, dom zakonny, osobna kuchnia, młyn wodny to dzieło brata Leona Kodrzyńskiego SJ, który przybył na tę misję w roku 1919, a opuścił ją w 1926. W pracy pomagali mu bracia Pączka i Pacek. Sędziwy misjonarz ojciec Lazarowicz z powodu swojej długiej białej brody był nazywany przez tubylców „prorokiem”.

W Chingombe zabawiłem tylko dwa tygodnie. Początek mojej pracy misyjnej polegał na zapoznaniu się z placówkami misyjnymi i pozostanie tam, gdzie jest największa potrzeba. Wyruszyłem do Mpimy, gdzie już uprzednio byłem dwa miesiące. Zamieszkałem w jednym z miejscowych domków zrobionych z gliniastej ziemi i trzciny. Na noc musiałem przygotować na buty specjalne podwyższenie z metalu. Białe termity zrobiłyby z nich dla siebie niezłą kolację. Na szczęście łóżka mieliśmy żelazne.



Ojciec Stanisław Wawrzekiewicz SJ.

Pomagałem głównie ojcu Stanisławowi Wawrzekiewiczowi SJ w wykonywaniu różnych drewnianych narzędzi i sprzętu niezbędnego w domowych pracach. W ogrodzie ustawiliśmy kilka uli. Po kilku dniach ojciec Wolnik odjechał do Kabwe [dziś Broken Hill – przyp. red.]. Brat Piotr Osterkiewicz SJ uczył mnie jeździć terenowym samochodem i trochę pomagałem bratu Maksymilianowi Kłopciewi SJ w wypalaniu 95 tys. cegieł, z których miało powstać seminarium, dom mieszkalny oraz kaplica.



Wioska nad Zambezi wg rysunku misjonarza.

Po czterech tygodniach ruszyłem w ślad za Ojcem Prefektem. W Kabwe pomagałem bratu Leonowi Kodrzyńskiemu SJ w budowie kościoła dla okolicznej ludności. Z lasu, który był odległy o około 6 km od miejsca budowy, zwłóczyliśmy drzewo, w czym czynnie pomagała nam miejscowa ludność. W lesie tym rosły „święte drzewa” w miejscowym języku nazywane „Mirruni”. Tubylcy przychodzili z konkretnymi prośbami, na przykład o deszcz, i składali pod drzewem bądź zawieszali na korze różne ozdoby, amulety, koraliki. Drzewo to było koloru ciemnoczerwonego. Brat Kodrzyński ściał jedno z nich, myśląc, że tubylcy będą się złościć, ale oni tylko milczeli.

W ciągu ośmiu miesięcy postawiliśmy skromny kościółek. Prace wykończeniowe miał wykonać już sam brat Kodrzyński, gdyż ja odjeżdżałem do Kasisi. Widziałem, jak łzy kręcały mu się w oczach. Mnie też było markotno.

PRZEZ KASISI DO CHINGOMBE

W Kasisi uczyłem się angielskiego pod nadzorem ojca Jana Spendela SJ. Miałem również dozór nad młynem i stolarnią. Zostałem jeszcze na tej placówce jej założyciela, ojca Juliana Torrenda SJ oraz siostry służebniczki, z którymi płynęliśmy do Afryki. W Kasisi byłem około 5 miesięcy. Żałowałem trochę, że już wyjeżdżam i ojciec Spendel mnie polubił, ale trudno, będzie musiał z kim innym jeździć do placówek misyjnych, gdzie pilnowałem mu samochodu i przyrządzałem posiłki, on natomiast katechizował. W tym czasie ojciec Torrend układał słownik w języku tonga i tłumaczył na angielski. Pomagali mu w tym dwaj tubylcy. Był on też wielkim miłośnikiem śpiewu. Każda jego Msza św. była śpiewana, a ponie-

waż fisharmonia była przy drzwiach kościelnych, odchodził od ołtarza i szedł grać, następnie dalej celebrował Mszę św.

Miałem wrócić na stację misyjną w Chingombe. Ojciec Spendel odwiózł mnie na stację Ngwerere. Stamtąd udałem się do Kabwe. Z Kabwe brat Osterkiewicz odwiózł mnie do Mkushi, gdzie zatrzymałem się u pewnego komisarza angielskiego. Spędziłem tam noc i czekałem na ludzi z Chingombe, którzy mieli po mnie przyjść. Niestety nikogo nie było. Po długich prośbach komisarz dał mi dwóch Afrykańczyków. Był październik 1930 roku. Do Chingombe ponad 70 km. Było bardzo upalnie. Tubylcy szli bardzo szybko. Krzyczeli, abym szedł szybciej, gdyż oni są boso, a kamienie były bardzo nagrzane. Miałem dobre skórzane buty. Czulem, jak po kilku kilometrach zaczynają piec. Zdjąć nie chciałem, bo po takich gorących kamieniach nie byłem przyzwyczajony chodzić. W pierwszy dzień zrobiliśmy 40 km.

Zatrzymaliśmy się u poszukiwacza minerałów pana Bletchforda z Anglii. W miejscu, gdzie stał jego namiot, zastaliśmy kilku tubylców, jego natomiast nie było. Miał wrócić późnym wieczorem. Byłem strasznie zmęczony, nogi całe w pęcherzach, przez cały dzień bez żadnego posiłku. Nie chciało mi się jeść, tylko spać. Poszedłem nad pobliski strumień i tam położyłem się w trawie. Moi przewodnicy położyli się koło mnie. Usnąłem natychmiast. Zdążyłem tylko usłyszeć, że jutro o świcie wyruszamy dalej. Rano dowiedziałem się, że wieczorem przyszli posłańcy od pana Bletchforda, ale moi tragarze nie pozwolili mnie budzić.

O godzinie 4 rano wyruszyliśmy w drogę, tak że nawet się z tym Anglikiem nie widziałem, gdyż w jego obozie wszyscy jeszcze spali. Szliśmy po kamieniach i wertepach do godziny 13.00. Doszliśmy do rzeki Chingombe. Moi towarzysze rozebrali się i od razu skoczyli do wody. Ja natomiast zdjąłem buty i moczyłem przez 3 godziny obolałe nogi. Z trudem włożyłem je z powrotem w buty i ruszyliśmy w potwornym upale. Przewodnicy wyprzedzili mnie i krzyczeli, że bym się pospieszył. Do misji było około 3-4 km. Przyszedłem sam. Następne dwa dni przeleżałem w łóżku.

Cdn.

Spisał i opracował
o. Wiesław Krupiński SJ

BRAT JÓZEF BOROŃ SJ – MISJONARZ, FARMER, LITERAT I HISTORYK



Brat Józef Boroń SJ.

Józef Boroń urodził się 11 listopada 1903 roku w Starej Wsi koło Brzozowa, w południowo-wschodniej Polsce. Zmarł w Lusace, w John Chula House, 26 maja 1994 roku. Prawie całe swoje dorosłe życie spędził na misjach w Zambii, nie licząc dwóch krótkich wyjazdów do RPA i Ziemi Świętej.

Rodzice brata Józefa, Jan i Katarzyna, mieszkali w Starej Wsi niedaleko bazyliki Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i klasztoru ojców jezuitów, gdzie mieścił się również jezuicki nowicjat. Józef już jako dziecko często odwiedzał Starowiejską Panią w Jej cudownym wizerunku w głównym ołtarzu bazyliki. W starowiejskiej świątyni chłopiec został ochrzczony, przystąpił do Pierwszej Komunii Świętej i sakramentu bierzmowania, tam też poznawał pierwsze prawdy religijne i chętnie się modlił.

W wieku dziewiętnastu lat, 15 maja 1923 roku, Józef zapukał do bram klasztoru, prosząc o przyjęcie



Zakład Naukowo-Wychowawczy w Bąkowiecach pod Chyrowem.

do Towarzystwa Jezusowego. Został przyjęty do nowicjatu, a po dwóch latach, 25 marca 1925 roku, złożył pierwsze i zarazem wieczyste śluby zakonne. Zgodnie z ówczesną praktyką po nowicjacie wysłano go na dalszą formację przygotowującą do późniejszych prac i zadań w Towarzystwie Jezusowym.

Najpierw wyjechał do prowadzonego przez jezuitów Zakładu Naukowo-Wychowawczego w Bąkowiecach pod Chyrowem, by tam uczyć się ogrodnictwa. Następnie został wysłany do Czechowic, gdzie kontynuował naukę. Brat Józef uwielbiał ogrodnictwo, a kwiaty towarzyszyły mu aż do śmierci. To właśnie w Czechowicach dowiedział się, że został wybrany do pracy misyjnej w Rodezji Północnej (dziś Zambii). W kwietniu 1928 roku wyjechał do Krakowa, by wraz z innymi przyszłymi misjonarzami przygotować niezbędne dokumenty i inne rzeczy związane z podróżą. Nigdy nawet nie wspomniał, że chciałby pojechać do rodzinnej wioski, by pożegnać się z najbliższymi.



Misjonarze przed wyjazdem na misje. Pożegnanie w Rzymie.

30 kwietnia 1928 roku przyszli misjonarze opuścili Polskę i udali się na misje do nowo powstałego Wikariatu Lusaka, gdzie dotarli 15 czerwca. W grupie tej były cztery siostry służebniczki (Romana Will, Urszula Wiktor, Rutina Świrska i Fridolina Macior), dwóch księży jezuitów (Władysław Zabdyr i Stanisław Wawrzekiewicz) oraz trzech jezuickich braci zakonnych: Józef Boroń, Józef Duda i Wojciech Bulak, który do Zambii przybył nieco później, bo w styczniu 1929 roku.

Brat Józef Boroń był w tej grupie najmłodszy. Po krótkim okresie aklimatyzacji został wysłany do Mpiimy, by tam pomóc br. Jakubowi Londze przy reorga-

nizacji i prowadzeniu nowo nabytej farmy. Brat Jakub Longa – stary misjonarz z doświadczeniem z Australii i misji w Mozambiku oraz nowo przybyły misjonarz br. Boroń wkrótce stali się bliskimi przyjaciółmi. Brat Boroń, z zainteresowania literat, poeta i historyk, stał się na misji – jak sam lubił mawiać – historykiem amatorem i wielkim kolekcjonerem różnych materiałów dotyczących historii misji znad Zambezi.

Później br. Boroń przez pewien czas pracował w Chingombe, a następnie w Katondwe, gdzie ostatecznie związał się z Towarzystwem Jezusowym, 15 lutego 1934 roku składając ostatnie śluby. Potem przyszła wieloletnia praca misyjna w Chikuni, a następnie przez długi czas br. Boroń pracował w Kasisi, aż do przejścia na emeryturę w 1974 roku.



Od lewej bracia: Boroń, Pączka i Überman.

Brat Józef był silny i dobrze zbudowany, ale nie miał najlepszego zdrowia. Od pierwszych dni pracy na misji cierpiał na bóle głowy, a w wieku sześćdziesięciu lat zaczęły sprawiać mu kłopoty także nogi. Dlatego praca na farmie wiązała się z ogromnym bólem. Brat rzucił nawet papierosy, by zachować lepszą formę.

W 1985 roku wraz z innymi misjonarzami został odznaczony przez prezydenta Kennetha Kaundę Orderem Zasłużonych (Order of Distinguished Service). Jednak podobnie jak jego bliski przyjaciel i współodznaczony br. Józef Gajdos, nie miał sił, by pojechać po odbiór odznaczenia. Kiedy nie mógł już chodzić, poruszał się na wózku inwalidzkim.

Był rolnikiem z zawodu i zamiłowania, ale miał też wiele innych zainteresowań. Kochał muzykę – stare wiedeńskie walce i lekkie operetki. W młodości grywał na skrzypcach. Bardzo lubił kino i niekoń-



Ojcowie B. Wolnik, W. Zabdyr i br. J. Boroń przy grobie o. J. Moreau.

czące się telewizyjne seriale. Najbardziej lubił jednak historię, szczególnie tę związaną z początkami misji znad Zambezi. Miał niezwykle dobrą pamięć do szczegółów i dat.

Spędził w Towarzystwie Jezusowym 69 lat. Należał do tej szkoły duchowości, która woli jasne polecenia niż sugestie. Nawet w ostatnich dniach pobytu w infirmerii nie zrezygnował z odprawienia dorocznych rekolekcji, a paciorki różańca i zużyte kartki modlitewnika świadczą o tym, że był człowiekiem modlitwy.

W szpitalu „starego Boronio” odwiedzało wielu misjonarzy. Brat Józef zawsze interesował się tym, co dzieje się zarówno w prowincji jezuitów, jak i na całym świecie. Najbardziej jednak lubił, kiedy odwiedzali go najmłodszy zakonnicy – nowicjusze.

* * *

Teksty na temat początków misji zambijskiej, które publikujemy poniżej i będziemy publikować w kolejnych numerach, są autorstwa właśnie tego skromnego Zakonnika, który poświęcił całe życie, służąc Chrystusowi w dalekim kraju między Zambezi, Luangwą i Kafue.

Tłum. i oprac. red.

Na podstawie: *Companions in Mission. Portraits of Those Who Worked in Zambia-Malawi Province* („Misyjni towarzysze. Portrety tych, którzy pracowali w prowincji Zambia-Malawi”); rękopis z archiwum prowincji Zambia-Malawi.

POLSKA PIEŚŃ RELIGIJNA NA CZARNYM LĄDZIE. OJCIEC STANISŁAW HANKIEWICZ SJ

Chociaż za trudy misyjnego życia afrykańska ziemia poskąpiła mu mogiły, chociaż na wieczny sen nie szumią mu afrykańskie drzewa i wysokie trawy, imię ojca Stanisława Hankiewicza znajdować się będzie na pierwszych stronicach historii Polskiej Misji w Rodezji.

Ojciec Stanisław Hankiewicz wyruszył na misje wcześniej, bo zaledwie parę miesięcy po święceniach, w roku 1908. Udał się do portugalskiego Mozambiku, gdzie w owym czasie świetnie rozwijały się katolickie misje. Krótką pracę misjonarską ojca Hankiewicza przerywa rewolucja portugalska z lat 1910-1911, która swym żądłem sięgnęła także do Mozambiku. Misjonarzy usunięto. Ojciec Hankiewicz wrócił do kraju, ale nie na długo.

MISJE W RODEZJI

Z chwilą gdy coraz jaśniejsze stawały się plany oddania części Rodezji Północnej polskim jezuitom pod opiekę, ojciec Hankiewicz z pierwotnym zapalem, w towarzystwie ojca Felicjana Czarlińskiego i brata Franciszka Packa udał się do Afryki, na prawdziwy „pionierski trud”. Po dość przewlekłej podróży lądem i morzem, 27 czerwca 1914 roku stanęli u celu: głęboko w afrykańskiej puszczy, na podłużnym pagórku blisko rzeczki, dając początek stacji misyjnej Chingombe. Oczekiwał ich tam od paru tygodni brat Wojciech Pączka, wysłany z Katondwe. Nowa placówka misyjna, sła biutka jak wąż roślina uczepiona skalnej szczeliny, natrafia od samego początku na niesłychanie cięż-

kie warunki. Dokuczają im skrajne ubóstwo, któremu w żaden sposób nie można zaradzić, tym bardziej że wybuchła I wojna światowa, odcinająca misję zupełnie od źródeł pomocy z kraju. Otacza ich natura bezkresna jak morze – tajemnicza i piękna, ale skąpana żarem słońca, dzika, nieżyczliwa, drapieżna... Wobec tego życie misjonarzy musiało się układać bardzo ubogo i prymitywnie.



Wioska afrykańska w I połowie XX wieku.

Mimo to misjonarze nie załamują rąk, bo zaufali Opatrzności Bożej. Nie przyszli przecież do tych dzikich kniei szukać pokładów złota czy kopalń diamentów. Przeciwnie! Przez własną ofiarę chcą nieść światło wiary do pogańskich ciemności. Postawili sobie na mieszkanie kilka chat w stylu murzyńskim, a z kamieni uzbieranych w parowach zbudowali małą kapliczkę, podobną raczej do skalnej jaskini. Kamieni w różnych odcieniach twardości i koloru jest tu takie mnóstwo, że mineralog czułby się tu jak w raj!



Siostra zakonna prowadzi lekcję w buszu.



Wioska zambijska dzisiaj.

Mimo skrajnego ubóstwa i braku środków do życia, nasi misjonarze wchodzą coraz głębiej w tajniki misjonarskiej pracy. Przoduje bohater naszego opowiadania – ojciec Stanisław Hankiewicz, który z Mo-

zambiku przyniósł znajomość miejscowego języka i duże doświadczenie. Był to mąż wielkiej energii, zadziwiającej łagodności i niezwykłego poświęcenia dla sprawy misyjnej. Gorący klimat zamkniętej górami doliny Chingombe i zbyt prymitywne warunki bytowania od samego początku działają negatywnie na zdrowie ojca Stanisława. Mimo to zawsze jest pogodny i dowcipny, pobudzając do głośnego śmiechu miejscowych czy podnosząc na duchu współbraci misjonarzy, z którymi dobrowolnie dzieli odcięcie od świata.

WYKORZYSTANE TALENTY

Ojciec Hankiewicz był zdolnym lingwistą, z zamiłowaniem w tym kierunku. Szybko pogłębia język krajowców i zabiera się do pisarstwa, aby miejscowej ludności dać do ręki podstawy literatury katolickiej: katechizm i modlitewnik. Największą zasługą ojca Hankiewicza, niejako pomnikiem jego dzieł, jest przetłumaczenie na język chinyanja dużej kolekcji naszych pieśni kościelnych wraz z Godzinkami do Najświętszej Maryi Panny. Nie było to zadanie łatwe, ale opłaciło się sownie, bo pieśń polska przyjęła się szybko, bujnie, z entuzjazmem.

Pieśń polska... Jej serdeczne melodie miejscowa ludność słyszała po raz pierwszy z ust ojca Hankiewicza. Mieszkańcy stacji byli oczarowani, podchwytywali, odtwarzali, zwłaszcza murzyńskie dziewczęta stały się pierwszymi piewcami polskiej melodii religijnej na Czarnym Łądzie. Dzieciarnia wciąż otaczała chatkę „Bambo Hankiewicza”, wsadzając główki jeden przez drugiego do małego okienka. Wsłuchiwali się w dziwne, wprost do ich serc trafiające melodie, z otwartymi buziami przypatrywali się pracy ojczulka. A on ich nie odganiał! Cierpliwie tolerował, a może traktował te „podglądziny” jako nieoficjalne lekcje.

Ciekawscy oglądali przez niskie okienko „czarodziejski” instrument: jakąś starą rozklekotaną maszynę do pisania, którą ktoś ofiarował ojcu przed wyjazdem z kraju. Ten „przedpotopowy” typ maszyny na świstkach papieru wybijał coraz to nowe NYIMBO (pieśni)! Pieśni, które w ich uspiionych duszach pogańskich uderzały w strunę dotąd nieznaną, bo w strunę miłości Boga i bliźniego. Znakomitym przyjęciem cieszyły się pieśni do Matki Boskiej, jak „Serdeczna Matko”, „Gwiazdo śliczna, wspaniała” i inne. Entuzjastycznie przyjęły się nasze liczne kolędy, śpiewane w Afryce z niezwykłą brawurą i z właściwą Afrykańczykom rytmiką. Po zapadłych wioskach, na polach i po krętych ścieżynach można było słyszeć melodie naszych kolęd właściwie przez cały rok! To znaczy, że trafiły głęboko do duszy.

GODZINKI I INNE PIEŚNI MARYJNE W JĘZYKU CHINYANJA

Najmocniej jednak porwały duszę afrykańską nasze Godzinki, dzięki potężnej melodii, rytmice i obrazowości, która zawiera tyle aluzji do przyrody afrykańskiej. Ta lilia między cierniami, ta palma cierpliwości... Palma – łamana, rąbana, pożarem traw palona, cierpliwie odrasta wspaniałym wachlarzem. Choćby taki symboliczny obraz z nauczania prawd religijnych i praktyk ma ogromne znaczenie. Działa na te proste dusze.

Tchnienie, jakie dał ojciec Hankiewicz pieśni polskiej na gruncie afrykańskim, niesie ją z entuzjazmem coraz dalej i szerzej, jak wiatr roznosi nasiona kwiatów. Wkrótce ukazują się tłumaczenia na inne narzecza, a także wydawnictwa drukowane w tysiącach egzemplarzy. Cała Misja rozśpiewała się na polską nutę, a niektóre pieśni popłynęły dalej, poza jej granice. Dziś utrwała te pieśni taśma rekordowa, przenosząc je na inne kontynenty, a nawet do Polski – jako śliczne echo naszej rodzimej kultury, której pierwiastki przyswoiły sobie ludy Afryki.

Inne pieśni poszły w świat szeroką falą, nikt jednak nie podjął się dotąd tłumaczenia Godzinek na inne narzecza rodezyjskie. Istnieją tylko jako oryginalna świętość zabytkowa w języku chinyanja. Jedyne w sobotnie poranki śpiewa je ludność Katondwe w kaplicy wotywniej Matki Boskiej Fatimskiej. Melodie Godzinek rozbrzmiewają tu dawną mocą, falując szerokimi kręgami i opadają ku dolinie rzeki Luan-gwy, na jej szerokie roztocki i gubią się w mgłach porannych, otulających uroczą okolicę. Ktokolwiek kiedyś będzie w Katondwe, niech duszę swą pokrzepi tym potężnym przeżyciem.

W KASISI

Lata płynęły. Skończyła się wojna światowa, nastał pokój, a z nim lepsze czasy dla Chingombe. W odległości pół mili od pierwszego osiedla w kierunku rze-



Dom misyjny w Kasisi.

ki wre praca. Z żebraniiny ojca Jana Lazarewicza, pod kierunkiem brata Leona Kodrzyńskiego, wznosi się dwupiętrowy dom ojców, tak pomyślany, aby obszerne werandy dawały wiele cienia. Ojciec Hankiewicz jednak nie miał w tym domu zamieszkać. Do końca pozostanie w swej prymitywnej, ciasnej i dusznej chatce. Zdrowie nie dopisuje. Wpływa na to liche wyżywienie, gorący klimat, ataki malarii. Wreszcie dołącza okrutna choroba tropikalna zwana ciufą (jelitowa choroba grzybicza). Z tej beznadziejnej choroby prawie cudem ratują go miejscowi „lekarze”, używając sobie tylko znanych sposobów leczenia.

Po dziesięciu latach przełożeni przenoszą ojca Hankiewicza do Kasisi, gdzie panuje o wiele łagodniejszy klimat. Ojciec ma zapadłą twarz i poźółkłą cerę. Uważa jednak, że do Kasisi nie przyjechał na wakacje. W dalszym ciągu pisze, tłumaczy, przygotowuje do druku dziełka w języku afrykańskim, nie zanedbując w niczym zwykłej pracy duszpasterskiej. Główną jednak uwagę zwraca na wychowanie kadr katechistów. Ma wprawdzie do dyspozycji materiał dobrej woli, ale bardzo surowy. Trzeba długiej i cierpliwej pracy, aby z nich zrobić „apostołów”.

ZŁY STAN ZDROWIA I POWRÓT DO EUROPY

Niestety, w stanie zdrowia nie ma poprawy. Przełożeni robią, co mogą, by ratować tak cenną siłę misjonarską. Z końcem 1925 roku ojciec Hankiewicz wyjeżdża do Europy w nadziei, że po odzyskaniu zdrowia wróci do ukochanej Misji. W Polsce w miarę sił pracuje dla dobra swoich czarnych podopiecznych, głosząc w licznych miastach pogadanki i odczyty, nie szczędząc posług kapłańskich, gdzie tylko tego była potrzeba. W chwilach wolnych pracuje nad ukończeniem gramatyki języka chinyanja przeznaczonej do użytku przyszłych misjonarzy.

Archiwa wskazują, jak żywą w tym czasie utrzymywał ojciec Hankiewicz korespondencję z misjona-



Kasisi, dom parafialny (2014 rok).



Kościół w Kasisi dzisiaj.

rzami. Interesował się każdym szczegółem misyjnej pracy. Tęsknił za misją. Ruch wielkomiejski i gorączka życia europejskiego nie jest już dla niego, to go męczy, rozprasza. Pod koniec 1927 roku formuje się większa grupa polskich jezuitów na wyjazd do Rodezji. Na jej czele ma stanąć ojciec Hankiewicz, aby – jak mawiał – już nigdy do kraju nie wracać.

Niestety, zapada ponownie na zdrowiu. Na wątrobie powstaje nowotwór. Już nie widać ratunku. W krakowskim kolegium przy kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa, z niezwykłym spokojem oczekuje bliskiej śmierci. Dolegliwości choroby przyjmuje z budującą cierpliwością. Odwiedzają go często młodzi misjonarze, którym miał przewodzić do Rodezji. A on słabnącym głosem opowiada im jeszcze o Misji, udziela wskazówek, daje przestrogi. Opowiada żywo, barwnie, z entuzjazmem i porywająco! Wreszcie 14 marca 1928 roku przed świtem gaśnie to młode życie (51 lat!), a dusza odlatuje po nagrodę misjonarską do Pana Żniwa.

Ilekoć bywam w Chingombe, udaję się na „pagórek pionierów”, aby tam podumać nad kolebką naszej Misji. Na pagórku wszystko wróciło do stanu, jak było przed wiekami. Cisza, przerywana niekiedy kwileniem górskiego jastrzębia albo cichutkim, metalicznym brzęczeniem muchy tse-tse.

Oko świadka tamtych dni odkryje w gąszczu traw kamienne rozwaliska pierwotnego kościółka, porośnięte dzikimi rozłogami krzewów. Nie ma nawet śladów po chatkach pionierów. Jeszcze 35 lat temu stały, choć puste i wałące się ku ziemi. I nietrudno mi było rozpoznać, która chałupa służyła za mieszkanie i za „studium muzyczne” piewcy polskich pieśni w Rodezji, śp. ojcu Stanisławowi Hankiewiczowi SJ.

Br. Józef Boroń SJ

POCZĄTKI POLSKIEJ MISJI W CHINGOMBE. OJCIEC JAN LAZAREWICZ SJ, CZĘŚĆ I

W roku 1928 zaraz po moim przyjeździe z Polski otrzymałem przydział do Chingombe. W tamtym czasie była to placówka straszliwie odcięta od świata. Trzeba było do niej iść co najmniej 40 mil. Poprzez strome góry i wąwozy schodziło się do głębokiej i bardzo gorącej doliny. Wędrowałem wówczas z dwiema Siostrami Służebniczkami, które z naszą grupą przyjechały z Polski. Przewodnikiem był przysłany z Chingombe brat Andrzej Jędrzejczyk.



Ojciec Jan Lazarewicz z afrykańskimi dziećmi.

Na powitanie nowych misjonarzy przed domem czekała olbrzymia, niemal posągowa postać starca ubranego w białą sutannę, z dużym krzyżem na szerokiej piersi. Postać miała dużą, okrągłą twarz ozdobioną srebrną, majestatycznie rozczochraną brodą. Spośród krzaczastych brwi patrzyły dziwnie głębokie oczy. Patrzyły gdzieś w dal, dla innych nieuchwytną i nieznaną, to znów odruchowo wznosiły się w niebo, zapewne do Boga... Chyba nie inaczej wyglądali biblijni patriarchowie i prorocy. Był to ojciec Jan Lazarewicz, pionier naszej Misji, budowniczy i długoletni przełożony stacji misyjnej w Chingombe.

Z MOZAMBIKU DO RODEZJI

Ojciec Lazarewicz wyjechał z Polski na początku 1910 roku na kwitnącą ongiś misję w portugalskim Mozambiku. Pod koniec tego samego roku w Portugalii wybuchła rewolucja, której huragan nie oszczędził nawet misji w portugalskich koloniach. Misjonarze rozproszyli się po różnych częściach świata. Ojciec

Lazarewicz schronił się u Ojców Białych w Nyasalandzie. Wiedząc jednak, że nie ma widoków na wzniesienie misji w Mozambiku, przeniósł się na terytorium Północnej Rodezji. Tu spotkał się z ojcem Władysławem Bulsiewiczem, który także uszedł z Mozambiku.

Obaj misjonarze, świadomi swego posłannictwa, osiedlili się około dwóch mil na zachód od rzeki Luangwy, która oddziela Mozambik od Rodezji. Miejsce było urocze – nad brzegiem strumyka, którego źródło było opodal, wśród trudnych do przebycia gąszczy, przeplatanych wysokimi i majestatycznymi drzewami mahoniu. Tu i ówdzie w gąszczy tym rosły grube i niekształtne baobaby, jakby stare, zapomniane bożyszczą. Istny małpi raj!

Tu nasi pionierzy postawili sobie chatę z pali oblepionych gliną. Dach pokryli leśną trawą. Tak zrodziła się pierwsza placówka Polskiej Misji zwana Katondwe. Okoliczna ludność żyła w ciemnościach pogaństwa. W dzień słońce zalewało ten egzotyczny świat niemiłosiernym żarem, a nocami rozlegały się ryki lwów, upiorne wycia hien i szakali. Na majdanach murzyńskich wiosek jakimś tajemniczym rytmem huczały bębny, którym wtórowały dzikie wycia czy spazmatyczne śmiechy tanecznych korowodów.

PIONIERSKIE ZMAGANIA

W takim otoczeniu i warunkach ojciec Lazarewicz rozpoczynał siebę ewangeliczną. Swym gorliwym i gorącym sercem misjonarskim oraz daleko sięgającym wzrokiem objął całą tę pogańską krainę i postanowił zdobyć ją – choćby za cenę życia – dla królestwa Bożego. Zabrał się zaraz do pracy. W skrajnym ubóstwie, głodzie i pragnieniu, w upale słonecznym ponad wszelką miarę, wśród niebezpieczeństw grożących ze strony dzikich zwierząt czy związanych z tropikalnymi chorobami, przebiegał on niezmordowanie wioski pogańskie, głosząc, że przybliżyło się królestwo Boże.

Najpierw zjednywał sobie naczelników szczepów i wójtów wiosek – to dobrym, pochlebnym słowem, to cierpliwym przekonywaniem, czasem nawet podarkiem. Przecież od humoru czy kaprysu tych ludzi zależało wiele: prawo założenia szkółki i nauczania katechizmu.

Większość godziła się chętnie, nawet sami chodzili na nauki i zapisywali się do katechumenatu. Z ko-

lei inni mieli zastrzeżenia. „Dobrze, ojcie – mówią na przykład pewien królik – głosicie sobie waszą naukę. Ale dowiaduję się, że zakazujecie tego i owego... Jeśli z waszej nauki skreślicie szóste i dziewiąte przykazanie, to do reszty nie mamy zastrzeżeń”.

UPARTY „WŁADCA” MUSI I TAK USTĄPIĆ

Znaleźli się i tacy „władcy”, którzy wbrew wołaniu ludu o szkołę, sprzeciwiali się jej przez długie lata. W takich wypadkach ojciec Lazarewicz nigdy nie dawał za wygraną. Szturmował do nieba o zmiękczenie serc, a ze swej strony próbował wszystkich sposobów.

Jeden z pierwszych katolików w Katondwe opowiadał bardzo obrazowo następujący fakt. Pewien wpływowy królik uporczywie odmawiał zgody na szkołę i ewangelizację swojego „królestwa”. Po wyczerpaniu wszystkich środków ojciec Lazarewicz rozłożył się obozem przed królewską chatą i oświadczył, że nie odejdzie stąd, dopóki królik nie zgodzi się na jego prośbę. „No dobrze – odburknął ironicznie władca – siedź sobie tak długo, aż ci się sprzykrzy”.

Zapadł wieczór. Królik po sutej wieczerzy, którą z czcią podały mu żony, i po wypaleniu pękatej fajki na trzcinowym cybuchu udał się do chaty na spoczynek. Ucichły już wieczorne rozhowy przy ogniskach. Nadchodziła coraz głębsza noc. Północ... Ojciec Lazarewicz wstaje, ubiera się w długą białą sutannę i z krzyżem w rękę jak duch sunie do chaty królika. „Kto tam i czego?” – krzyknął przerażony władca. Ojciec Lazarewicz głosem groźnym, a głębokim – jakby nie z tego świata – prosi i żąda zgody na szkołę. Sądem Bożym grozi! Ale zatwardziały poganin, ochłonawszy ze strachu, nie dał się zbić z tropu!

Wczesnym rankiem misjonarz odprawił na pogańskim podwórku pod drzewem Najświętszą Ofiarę i usiadł sobie na podróżnym krześle, odmawiając brewiarz czy różaniec. Królik wyszedł z chaty jakiś nie-

wyspany i zdenerwowany. Rzucił na misjonarza ponure i złe spojrzenie i przez cały dzień nic nie mówił. Następnego nocy ojciec Lazarewicz powtórzył, tylko natarczywiej, tę samą scenę co wcześniej, ale dalej bez skutku. Dzień znowu zszedł na upartym i jak ciemna chmura ponurym milczeniem obu stron.

W trzecią noc ojciec Lazarewicz przypuścił kolejny atak do tej twardej duszy. Królik zareagował: „Bambo – Ojcie, postawcie sobie nie jedną, ale tyle szkół, ile chcecie, tylko nie przychodźcie do mnie w nocy, bo moje serce umiera ze strachu”. Tego ranka ojciec Lazarewicz z rozpromienionym obliczem odprawił dziękczynną Mszę św. Królik wyszedł ze swej chaty z twarzą pogodniejszą i jakby kamień spadł mu z serca przyjaźnie pozdrowił misjonarza. Ojciec Lazarewicz z wielką wdzięcznością uściśnął mu dłonie, posadził koło siebie, aby już zgodnie omówić w szczegółach sprawę budowy szkół.

PRZYBYCIE OJCA APOLONIUSZA KRAUPY

Pod koniec 1913 roku na Misje przybył z kraju ojciec Apoloniusz Kraupa SJ wraz z braćmi Wojciechem Pączką i Leonem Kodrzyńskim. Ojciec Kraupa zaraz objął rządy w stacji misyjnej. Nowi misjonarze przywieźli z sobą nieco ubrań, pościel i bieliznę oraz kilka zwojów płótna, a więc materiały niezmiernie wówczas wartościowe. W liście do ówczesnego prowincjała, ojca Piotra Bapsta, ojciec Kraupa pisał między innymi o tym, że „Ojcowie nasi są tu bardziej obdarceni niż dziady odpustowe”, mógł więc tych biedaków nieco przydziać.

Po przybyciu ojca Kraupy Misja zaczęła się organizować i nabierać realnych kształtów. Z początkiem 1914 roku ojciec superior z bratem Pączką i ojcem Lazarewiczem (pod jego naciskiem) udał się o pięć dni drogi na północ od Katondwe, by obejrzeć teren pod nową stacją misyjną w Chingombe. Ta nowa placów-



Szkoła gospodarstwa domowego, Kasisi.



Młodzież szkolna.

ka czekała już na będących w drodze z Europy misjonarzy: ojców Stanisława Hankiewicza i Felicjana Czarlińskiego oraz brata Franciszka Packa. Po oględzinach na nowej stacji został brat Pączka, a ojcowie wrócili do Katondwe. Ten „pustelnik” wybudował na tak zwanym Pączka Hill kaferskie* chaty mające być rezydencją dla jadących z Europy misjonarzy, a z miejscowego kamienia postawił „kościół” o trzech nawach z trzema ołtarzami – i ma się rozumieć – z chórem. Wszystko to jednak nie większe od zwyczajnej izby. Zamiast cementu i wapna użył gliny. Takie to prymitywne były początki Chingombe...

Tymczasem w Katondwe ojcowie Lazarewicz i Bulsiewicz dzielą pomiędzy sobą teren apostołstwa: jeden na zachód i południe, drugi na wschód i północ, zaczynając jakieś święte współzawodnictwo: który prędzej, który więcej, który dalej i lepiej... Mimo że na świecie szaleje I wojna światowa, której skutki i w dżungli afrykańskiej dają się misjonarzom we znaki, ojciec Kraupa z bratem Kodrzyńskim rozbudowują Katondwe. Zakładają szkoły, warsztaty, internat dla chłopców. Krótco mówiąc, ruch i śmiałe spojrzenie w przyszłość.

OWOCE MISYJNEJ SIEJBY

Kilkuletnia siejba ojców Lazarewicza i Bulsiewicza zaczyna wydawać owoce. „Bambo Lazaro” przygotowuje grupę katechumenów do chrztu św. Któregoś dnia przedstawia ją ojcu Kraupie ze słowami, które bardzo dobitnie wypowiedział: „Oto czarne dzieci Boże!”. Katechumeni stali zaś jak mur, czarni jak węgiel, o silnych a krępych muskularnych ciałach, ledwie czymś przepasani na biodrach. Dość łobuzersko łypali białymi oczyma. Ojciec Kraupa, który miał duże poczucie humoru, objął ich bystrym wzrokiem i dość długo kręcił nad nimi głową.



Ojciec Jan Lazarewicz z dziećmi.

Ojciec Lazarewicz wcale niezrażony powątpiewaniem w wartość jego „dzieci Bożych”, a wiedząc, że ojciec superior ma zapas płótna z Polski, zawołał jakby zaklinającym głosem, w którym czuło się prośbę: „Ojcze, ci ludzie naprawdę chcą Boga. Boga chcą, ale są nadzy, nadzy są! Płótna, płótna po kawałku im dajcie!”. Warto podkreślić, że „Bambo Lazaro” miał zwyczaj powtarzania pewnych słów czy krótkich powiedzeń, gdy chciał podkreślić ważny szczegół. Oczywiście, że na taką prośbę katechumeni otrzymali po kawałku płótna, a ich ojczulek był superiorowi ogromnie wdzięczny. Chciał bowiem w jakiś sposób upamiętnić ten wielki dla jego „czarnych dzieci Bożych” dzień – dzień chrztu św.

Tak mijały lata pełne prac, trudów i radości misjonarskiego życia. Pod koniec 1917 roku Katondwe miało pod swoją opieką już dziesięć szkółek i 400 uczących się w nich dzieci. Wojna się skończyła, dla Misji zaświtała nadzieja, odsłoniły się coraz obszerniejsze horyzonty dla misyjnej działalności. Aż tu pod koniec 1919 roku uderza grom, który – jak twierdzi wielu – decydująco zaważył na losach naszej Misji. Oto 9 grudnia, po krótkiej chorobie tropikalnej, zmarł ojciec Kraupa, w którego zapale i zdolnościach młoda Misja pokładała wielkie nadzieje. Tydzień po nim odszedł z tego świata ojciec Bulsiewicz, serdeczny przyjaciel ojca Lazarewicza i jego współpracownik od samych początków. Można sobie wyobrazić, jak wielkim smutkiem i niepokojem ścisnęło się i zapłakało serce ojca Lazarewicza, gdy trumny z tymi dwiema drogimi mu osobami kładziono do grobowca na wieczny spoczynek.

STACJA MISYJNA W CHINGOMBE

Po ojcu Kraupie przełożęństwo w Katondwe objął ojciec Felicjan Czarliński z Chingombe, a jego miejsce w Chingombe zajął ojciec Lazarewicz. Chcąc krótko scharakteryzować dokonania ojca Lazarewicza na nowej placówce, można powiedzieć, że zastał Chingombe gliniane, a zostawił murowane. Stacja ta została założona u podnóża dość wysokich i bardzo pięknych gór, u wejścia do doliny, która rozszerzając się, biegnie z zachodu ku południowemu wschodowi. Jest obwarowana ze wszystkich stron stromymi górami, tworząc jakby olbrzymie jezioro. Tylko w jednym miejscu tej otoczonej pasmem gór doliny, od południa, jest wąska wyrwa, którą z doliny na szeroki świat przepływa rzeka Lunsemfa.

Istnieje podanie, które dziś geolodzy zdają się potwierdzać, że kiedyś, bardzo dawno temu, dolina Luano – taka jest jej urzędowa nazwa – rzeczy-



Zambijska karetka.

wicie była olbrzymim jeziorem, które od południa zrobiło sobie otwór przez góry. Powierzchnia tej doliny, pofałdowana wzgórzami i wyrwami od wody gwałtownie spływającej w porze deszczowej, jest poprzerynana strumykami i kilku większymi rzekami, w których żyje mnóstwo krokodyli i hipopotamów. Dolina Luano, jak zresztą cała Rodezja, mieni się zielenią przeróżnych afrykańskich drzew i krzewów, nad którymi górują pojedynczo lub grupowo wachlarzowate palmy. Jeszcze dzisiaj jest tu sporo dzikiego zwierza: zebry, bawoły, kilka gatunków antylopy, lwy, lamparty, hieny i sporo słoni. Dzięki obfitości wody, zwłaszcza bliżej rzek, i żyznej glebie ten dziki – jakby rajski zakątek jest stosunkowo dość licznie zamieszkały.

Klimat, dzięki zamkniętej dolinie i niskiemu położeniu w stosunku do poziomu morza, jest gorący, duszny i niezdrowy, zwłaszcza w porze letniej – deszczowej, z najwyższą temperaturą w listopadzie przed deszczami. Ktoś powiedział, że gdybyście chcieli postawić świątynię słońcu, to w dolinie Luano jest idealne miejsce. Bo też słońce praży tu tak niemiłosiernie, że wszystko musi się przed nim ugiąć, a biada temu, kto by sobie pozwolił zbyt z nim poigrać...

Czas zakładania na tych terenach nowej stacji misyjnej nie był najlepszy. Był to rok wybuchu wojny. Nowo przybyli misjonarze byli podwładnymi austriackimi, więc władze angielskie Rodezji ogromnie krępowały ich swobodę poruszania się po tym terenie, zwłaszcza na początku. Misjonarze żyli w skrajnej biedzie, odżywiając się kaferskim* prosem, dzikim ryżem i bananami. Nękały ich też tropikalne choroby. Mieszkali w murzyńskich chatkach, które miały być jedynie tymczasowym schronieniem. Mszę św. odprawiali w szopie „bydłu przyzwoitej”. Na podwórzu pomiędzy chatkami palił się „wieczny ogień” zawsze podsycany, by nie zgasł. Gdyby zabrakło zapa-

łek, czym choćby fajkę zapalisz? W takich warunkach nie mogło być mowy o intensywnej i systematycznej pracy misjonarskiej.

PĄCZKA HILL

Ojciec Lazarewicz, obejmując rządy w Chin-gombe, zastał tam powyżej opisany stan. Powodów ku temu, jak widzieliśmy, było wiele. Niedaleko od pierwotnego miejsca zamieszkania, na „Pączka Hill” wznosi się skalna góra, stożkowata jak piramida, dostępna tylko z jednej strony. Ojciec Lazarewicz nazwał ją Golgotą i na jej szczycie postawił drewniany wysoki krzyż – z daleka widne godło zbawienia. Z wysokości Golgoty jego wzrok obejmował te dalekie i szerokie pola, czekające ewangelicznej orki i siewby, a z piersi wydobywało się gorące westchnienie i prośba do nieba, aby zadanie, które go czeka, umiał wykonać.

Jak przed laty w Katondwe, tak i tu ojciec Lazarewicz z energią zabrał się do dzieła. Zjednął sobie najpierw królika i księżęta tej ziemi. Tylko że tu Dobra Nowina nie była czymś zupełnie nowym. Mimo nieprzychylnych warunków w okresie wojny, ze wzgórz Pączki promieniowało światło wiary i kiełkowało ziarno prawdy zasiane przez ojców Czarlińskiego i Hankiewicza. Grunt był przecież podatny: miejscowa ludność jest prosta, pogodna, wręcz dziecinna. Opierając się na już wykonanej pracy, „Bambo Lazar” zorganizował szkoły katechetyczne, w których uczono czytania, pisania, a przede wszystkim prawd wiary. Z braku własnych katechistów „pożyczył” kilku od Ojców Białych, zanim nie przygotował swoich. W tym właśnie celu założył na Misji internat, a sam całymi tygodniami podróżował po wioskach w niesłychanych trudach, niewygodach i przygodach.

Jedną z tych przygód to spotkanie oko w oko z lwem, który wprawdzie mrucał złowrogo, ale ostatecznie ustąpił z drogi! Kiedyś ojciec Lazarewicz na-



Szpital w Katondwe.

tknął się na stado słoni, ale zawczasu zdołał obejść je z daleka. Nocował w niskich i ciemnych, pełnych robactwa chatach kaferskich*. Kiedyś najadł się strachu, bo do wnętrza chałupy dobierał się lampart. Sam opowiadał, że kiedyś nocował w chacie tak niskiej, że nie można było w niej nawet stanąć, a w dodatku miała ona dziurawy dach. Chata stała kawałek za wsią. Nagle „wśród nocnej ciszy” daleko rozległ się ryk lwa. „Zerwałem się – mówi – jak żandarm, jak żandarm z rewolwerem w ręku, z palcem na cynglu, a ta bestia ryczy jak syrena okrętowa – coraz bliżej i bliżej. Gdy lew był już blisko, odłożyłem rewolwer, a wziąłem do ręki koronkę... Lew minął moją «fortecę», a poszedł do wsi nakozy!”

ROZBUDOWA MISJI W CHINGOMBE

Drugim zadaniem ojca Lazarewicza – obok apostołstwa – była rozbudowa stacji Chingombe na wzór wspaniałych misji w Mozambiku, które wskutek rewolucji portugalskiej musiały upaść. A więc obszerny dom murowany, kościół, szkoły i warsztaty. Jak na owe czasy, w takim oddaleniu od wszelkiej cywilizacji, było to zadanie ponad ludzkie siły. Tylko że ojciec Lazarewicz, dusza prosta, ale wielka, szedł ku upatrzonemu celowi z jakimś fanatycznym uporem, z optymizmem i amerykańskim rozmachem. Z głębi wiary religijnej tryskała dziecięca nadzieja w Opatrzność Bożą i niczym niezachwiana ufność. A gdy czasem zetknął się z krytycznym poglądem na temat swoich poczynań czy naprawdę trudnych do przeprowadzenia planów, wtedy z pewnym podnieceniem odpowiadał: „Ludzie, ludzie, wiary nie macie!”. A wskazując szeroką swą dłonią na niebo, dodawał: „Tam, tam, u Tego wszystko jest możliwe!”

Opatrzność Boża dała naszej Misji od samego początku pełnego poświęcenia i dużego talentu, dziś już zmarłego, brata Leona Kodrzyńskiego, który po skończeniu prac w Katondwe i Kapoche przybył do Chingombe. I wtedy plany ojca Lazarewicza stały się rzeczywistością. Powstał dom ojców – wielki, piętrowy, murowany, kryty dachówką produkcji brata Leona. Następnie kolej na szkoły, warsztaty i inne zabudowania gospodarskie. Na końcu stanął obszerny dom Boży – kościół pw. Matki Boskiej Bolesnej.

Prace budowlane trwały jednak kilka lat. W upale tutejszego słońca robota szła powoli, a fundusze nieraz wyczerpały się do ostatniego grosza, więc trzeba było wstrzymać budowę. Żeby jakoś związać koniec z końcem, ojciec Lazarewicz posunął oszczędzanie na codzienne potrzeby do ostatecznych granic. Wszyscy coraz mocniej zaciskali pasa i chodzili w zniszczo-



Kościół w Chikuni, 1911 r.

nych ubraniach. „Cierpliwości, cierpliwości – nawoływał ojciec superior. – Jak już skończymy budowę, będziemy sobie żyli jak panowie. Na porcelanowych talerzach będą nam podawać jedzenie, na piernatach będziemy spali, ale teraz do dzieła, jeszcze do dzieła!”. I dzieło rosło duchowo i materialnie, w strasliwym upale dnia, w znoju przeogromnym, w ofierze i poświęceniu całego jestestwa.

SEKCIARZE

Na pięknie kiełkujące pole misyjne ojca Lazarewicza wdarł się nieprzyjaciel, aby zasiać kłótki: sekty i sekciarze. Niektórzy z nich przyszli na teren Północnej Rodezji razem z pierwszymi misjonarzami katolickimi. Po pierwszej wojnie światowej – niczym jakaś inwazja – zwalili się sekciarze z całego świata, różnych odcieni i barw!

Niektórych sekciarzy znamionuje jakaś złośliwa agresywność przeciwko Kościołowi katolickiemu. Wpaść gdzieś znienacka jak wilki, zbałamucić, podburzyć, olśnić mirażem bogactwa czy wysokiej nauki albo zastraszyć aroganckim tupetem prosty i mało jeszcze religijnie uświadomiony lud – oto sekciarska taktyka.

Ciężka jest dola misjonarza, który w tak niebezpiecznym momencie gdzieś się zapatrzył albo nie zdołał się przeciwstawić! Ojciec Lazarewicz jednak czuwał. Na pierwszą wieść o intruzach pakował podróże manatki i na front! Sytuacja w Chingombe stała się poważna. Ówczesny królik M'Boroma, wielki pochlebca rządowej i oportunisty, zaczął bardzo sprzyjać nowym „apostołom”, tym bardziej że na czele ich akcji misyjnej stał pan Grey (popierany przez rząd), sławny potem w kraju organizator i misjonarz. Za królikiem zaczęli już iść niektórzy naczelnicy wsi.

Ojciec Lazarewicz swoją powagą i wymową niemal zaklął ludzi, aby nie dawali posłuchu sektom. Po ciężkiej i długiej przeprawie z królikiem skłonił go wreszcie, że sekciarze nie otrzymali pozwolenia na otwarcie szkół, jako że ludność już ma szkoły katolickie.

W one dni ojciec Lazarewicz nie jadł, nie spał, schudł i postarzał się znacznie. Rysy jego twarzy nabrały wyrazu surowej powagi i jakiejś zaciętości, ale batalię wygrał na całej linii! Sekciarze wprawdzie próbowali jeszcze tu i ówdzie szczęścia, ale w wielu miejscach ludność dała im należytą odprawę. Widząc więc, że już grunt stracony, w „świętym oburzeniu” strzepali

proch ze swych nóg i odeszli. Odeszli może i dlatego, że tam im było za gorąco.

Cdn.

Br. Józef Boroń SJ

* Kafrowie – odłam szczepu Bantu zamieszkujący wschodnie wybrzeży Afryki Płd. Nazwa pochodzi od arabskiego słowa „kafir” – „niewierny” i została nadana przez arabskich wojen kolonialnych prowadzonych przez Burów i Brytyjczyków z Zulusami i Khosa XVIII–XIX w. (zob. Encyklopedia PWN). Mężczyźni kafrów zajmują się pasterstwem, kobiety rolnictwem.

WSPÓŁCZEŚNI MISJONARZE

JEZUICI WRACAJĄ NA FARMĘ

W 1905 roku ojciec Józef Moreau zaczął ewangelizować w Chikuni i uczyć mieszkańców misji, jak używać wołów do uprawy kukurydzy. Później robili to samo polscy jezuici w Kasisi. Niestety od dłuższego czasu praktyka ta była zarzucona. Ziemia leżała odłogiem i nie była wykorzystana.

W 2017 roku jezuici wrócili do pracy na polu zachęceniem encykliką *Laudato Si'* Papieża Franciszka, pragnieniem pomocy mieszkańcom misji, a jednocześnie szukając funduszy, by móc rozwijać dzieła ewangelizacyjne w Prowincji Towarzystwa Jezusowego Zambii – Malawi.

EKOLOGICZNA FARMA

Chcieliśmy zacząć od hodowli krów mlecznych. Niestety nie mieliśmy wystarczających funduszy i wiedzy, jak taką hodowlę prowadzić. Przygotowałem więc 5-letni plan rozwoju farmy, na której zdecydowaliśmy się uprawiać warzywa, hodować ryby i założyć plantację moringa – „cudownego drzewka Afryki” zwanego też drzewem długiego życia, które ma wyjątkowe wartości lecznicze i odżywcze (zawiera m.in. białko, żelazo, witaminy A i C). Farma jest prowadzona całkowicie ekologicznie. Jej menadżerem jest emerytowany ergonomista zambijski, który ma do dyspozycji



Kobiety przygotowują czosnek do sadzenia.



Rolnictwo ekologiczne. Uprawa roślin strączkowych.

dwunastu stałych pracowników i dziesięciu sezonowych, kiedy jest więcej pracy.



Stawy do hodowli ryb i nawadniania.

Naszą farmę podzieliliśmy na dwie części: plantację drzew moringa ze stawem rybnym oraz plantację warzyw, również ze stawem rybnym. W sekcji moringa posadziliśmy już piętnaście tysięcy drzewek. W tym roku chcemy posadzić 80 tysięcy. Woda do nawadniania drzewek – ponieważ pora deszczowa trwa tu tylko cztery miesiące – pochodzi ze studni głębinowej wyposażonej w pompę słoneczną. W stawie mamy 40 tysięcy ryb (tilapii). W maju powinny być już gotowe na sprzedaż. Zapraszam na konsumpcję. Skonstruowaliśmy też specjalny tunel słoneczny, by móc suszyć liście drzewek moringa. Mamy już 200 kilogramów suszonej organicznej moringi. Szukamy teraz dla niej rynków zbytu. Całe szczęście moringa nie traci na wartości nawet przez trzy lata.

Na 12-hektarowej części warzywnej w zeszłym roku na trzech hektarach posadziliśmy fasolę i czosnek. Zebraliśmy 30 50-kilogramowych worków fa-

solii i tysiąc kilogramów czosnku. Fasolę sprzedaliśmy, czosnek przygotowujemy do sprzedaży. Również przy warzywach mamy staw rybny z dziewięcioma tysiącami tilapii.

Co roku przyjeżdżają do nas wolontariusze z Polski z Jezuickiego Duszpasterstwa Akademickiego w Toruniu, aby przez miesiąc pracować na naszej farmie. W zeszłym roku sadzili właśnie wspomniany czosnek.

WSPARCIE ROZWOJU

Farma rozwija się bardzo powoli, ze względu na brak funduszy. W tym roku chcemy posadzić warzywa (fasolę, czosnek, cebulę, ziemniaki, szparagi, chili) na całych dwunastu hektarach. Za kilka lat, z Bożą pomocą, planujemy też przetwarzać nasze warzywa na miejscu. Najpierw jednak chcemy ogrodzić pola, poszerzyć nawodnienie kropelkowe, zainstalować dwie pompy słoneczne itd. Za kilka lat, kiedy farma zacznie przynosić zyski, będziemy mogli wesprzeć nasze szkoły, formację jezuitów, opiekę nad starszymi i chorymi jezuitami oraz inne dzieła, które prowadzimy.

Benefaktorzy Referatu Misyjnego Prowincji Polski Południowej Jezuitów mają duży wkład w rozwój naszej farmy od jej powstania. Dzięki ich pomocy mogliśmy między innymi wywiercić trzy studnie. Pragnę wyrazić moją ogromną wdzięczność wszystkim, którzy poprzez swoje ofiary pomogli nam w ich wywierceniu. Dziękuję też wolontariuszom, którzy pracowali na naszej farmie.

Zapraszam do współpracy przy rozwijaniu naszej farmy na Bożą chwałę i dla dobra mieszkańców Zambii.

Wdzięczny

O. Tadeusz Świdorski SJ

DRODZY PRZYJACIELE MISJI

Pax Christi!

Pragnę w tych paru słowach na nowo być z Wami, odświeżyć nasze spotkania i chwile, kiedy podczas mojego urlopu dane mi było spotkać się z Wami. Szczególnie we Wrocławiu i Bytomiu, gdzie zbierałem ofiary na nasze misje.

W tych ostatnich czterech miesiącach wiele się wydarzyło. Życie na misjach jest dynamiczne i pełne Bożych darów. W tym okresie jako dziekan miałem wiele spotkań z wiernymi naszego dekanatu. Naszym opiekunem i patronem jest św. Bartłomiej. Poza tym jest jeszcze sześć innych dekanatów w archidiecezji Lusaka. Koordynuję życie parafialne w siedmiu para-

fach: Katondwe, Mpanshia, Chongwe, Chijuniu, Cha-inda, Kasisi i Kanakantapa. Odległości między nimi są duże. Niektóre parafie oddalone są od Lusaki nawet 200-300 km.

Dużo energii i czasu zajmuje mi rozwój naszego głównego centrum w Kasisi, gdzie jestem proboszczem. Pracujemy, by stworzyć lepsze zaplecze sanitarne i warunki do spania potrzebne przy organizowaniu



Święto parafii w stacji misyjnej Shooba.



Grota Matki Bożej w Dambo.

różnych parafialnych spotkań. Ponieważ mamy trochę ziemi, obecnie w porze deszczowej siejemy kukurydzę, soję, fasolę, orzeszki ziemne i warzywa. Parafianie mają doglądać sadzonek, a dochód ze zbiorów pomoże nam przy okazji różnych naszych projektów.

Nie zapominam też o 23 stacjach misyjnych, w których wybudowałem już dziesięć grot maryjnych, a parę kościołów ma nowe dachy. Po powrocie z mojego urlopu w Ojczyźnie obchodziliśmy odpust parafialny we wspomnienie św. Piotra Klawera. Podczas Mszy św. odpustowej 20 małżeństw odnowiło przyrzeczenia małżeńskie. Hasłem pastoralnym tego roku u nas jest Rodzina. Mieliśmy też bierzmowanie: 250 kandydatów otrzymało łaski Ducha Świętego.

Święta Bożego Narodzenia zapowiadają się pracowicie, będzie dużo chrztów i błogosławienia małżeństw. U nas, choć jest choinka i kolędy, nie ma zwyczaju przygotowywania naszych świątecznych potraw. Poza tym w okresie Bożego Narodzenia jest tu bardzo zielono i kwitnie dużo kwiatów, ponieważ to pora deszczowa.

Z końcem 2017 roku zamykamy Rok Rodziny. Zaczniemy nowy program pastoralny: ochrona środowiska i obrona planety Ziemi.

Serdecznie pozdrawiam i dziękuję za ofiary, które pozwalają organizować mi życie parafialne. Życzę zdrowych, wesołych Świąt i wielu błogosławieństw w Nowym 2018 Roku. Szczęść Boże!

*O. Jakub Maria Rostworowski SJ,
misjonarz z Zambii*

ŚLADAMI BŁ. JANA BEZYMA

GORLIWOŚĆ OJCA JANA BEZYMA SJ O DUSZE

Hasło św. Ignacego Loyoli „adiuvare animas” – „pomagać душom” w ich powrocie do Boga Stwórcy i Zbawcy – głęboko zapadło w serce ojca Bezyma. Całe swoje życie zakonne i kapłańskie poświęcił większej chwale Bożej i większej pomocy душom. Troskę o dusze łączył pokornie z troską o własne zbawienie. Prosił wielokrotnie karmelitanki krakowskie o wstawiennictwo u Matki Bożej, by z Jej pomocą mógł powierzone mu dusze doprowadzić do Jej tronu w niebie i by sam nie zginął na wieki. Karmelitankom przypominał też, jaki jest ich zasadniczy cel w Kościele: ratować ginące dusze.

SŁUŻYĆ I POMAGAĆ DO ZBAWIENIA

Przerażała go wizja ginących душ. Przecież dla ratowania nie tylko ciał, ale przede wszystkimдуш



Bł. Jan Bezym z trędowatymi.

wyjechał na Madagaskar; w tym samym też celu apostołskim tak bardzo pragnął udać się na Sachalin, żeby służyć i pomagać do zbawienia najbardziej potrzebującym braciom. Trędowatych i katorżników obejmował tą samą miłością swego kapłańskiego serca i był z nimi solidarny. Gotów był służyć jednym i drugim zgodnie



Bł. Jan Bezym opatruje chorego.

z wolą Bożą, którą w duchu wiary widział w rozkazach przełożonych.

Nosił w sobie ustawiczny lęk o dusze, które giną pogrążone w grzechach lub narażone na grzechy w koloniach trędowatych. Pragnął jak najszybciej zbudować prawdziwy szpital, bo jego „piskłeta” nie tylko nie miały odpowiedniej opieki lekarskiej i pielęgnarskiej, ale nadto żyły w warunkach ustawicznej okazji do grzechu. Dlatego tak uporczywie walczył o rzetelne budowanie schroniska i o separację płci.

CIERPIEĆ DLA OCALENIA DUSZ

Za dusze ojciec Bezym był gotów zapłacić każdą cenę ofiary. Gotów był cierpieć dla ich ocalenia. Prosił Matkę Najświętszą „o dziesięć trądów dla siebie”, by-

leby mógł uprosić ratunek dla dusz swoich chorych i zaprowadzić w szpitalu separację płci, bo bez tego panoszy się wśród nich rozpusta i giną dusze. Skarżył się Matce przeoryszy w Karmelu łobzowskim, że biskup Jan Chrzyciel Cazet opóźnia budowę szpitala, co powoduje poważne straty materialne i naraża dusze na utratę zbawienia. Tęsknił za dniem, kiedy będzie mógł otworzyć szpital, bo przez to dużo dusz pozyska dla Boga. Ile grzechów byłoby mniej, gdyby schronisko było wcześniej otwarte. Bardzo zależało mu na tym, by w nowym schronisku w Maranie mieć jak najwięcej chorych i tym sposobem jak najwięcej dusz pozyskać dla Pana Jezusa. I dlatego prosił usilnie i pokornie wszystkich, żeby dla miłości Matki Najświętszej pomagali mu swoimi datkami i ofiarami.

Do ojca Stanisława Hankiewicza pisał: „Martwi mnie to, że tyle dusz ginie marnie, może i na wieki, a ja uratować ich nie mogę. Konieczne jest schronisko”. Ta pozerająca go gorliwość o zbawienie dusz nie dawała mu spokoju i była siłą napędową zarówno w jego staraniach o przyspieszenie budowy szpitala, jak i o wyjazd na Sachalin. Chciał za wszelką cenę, modląc się, cierpiąc i żebrząc, uzyskać dużo jałmużn, głównie z Polski, żeby jego chorzy nie byli narażeni na grzechy i utratę zbawienia. Bardzo zależało ojcu Bezymowi na dzieciach, które nie znając jeszcze Boga, już uczą się Go obrażać, patrząc na zły przykład starszych.

Los nieszczęśliwych więźniów na Sachalinie leżał mu kamieniem na sercu. Byli między nimi i Polacy, katolicy. Chciał tam osobiście jechać, ale ostatecznie ważne było, żeby tam ktoś pojechał pomagać duszom, „które giną w tym piekle na ziemi”. Trzeba było misję sachalińską doprowadzić do skutku, bo „tam istne piekło”; on sam gotów był na każde cierpienie dla ratowania dusz. Nalegał na ojca Marcina Czerwińskiego, by na wszelki sposób przyspieszył jego wyjazd na Sachalin, bo ratunek dusz był tam pilniejszy niż w Maranie. Ustawicznie prosił Maryję o rychły wyjazd na tę wyspę dla ratowania dusz. Już chciałby tam być, bardzo mu było pilno tam służyć i pomagać. Wraz z karmelitankami prosił o to Jezusa i Maryję, widząc w tym Bożą chwałę i dobro dusz. „Prędszej na Sachalin! Byle prędszej, żeby ratować dusze na całym Sachalinie, bo giną bez pomocy”.

W OCZACH BOGA KAŻDA DUSZA JEST CENNA

Pragnąc zbawienia wielu dusz, zwłaszcza powierzonych jego pieczy oraz tych, o których zagrożeniu wiedział i pragnął im pomagać, dbał także o poszczególne dusze. Pewna trędownata dziewczyna, Gabriela,



Fr. Jan Bezym przy umierającym.

przeniesiona z Ambahivoraka do rządowego schroniska, w tych nowych i trudnych warunkach załamała się i upadła w grzech. Ojciec Bezym pamiętał o niej, modlił się za nią i polecał ją Maryi. Udało się jej szczęśliwie przedostać do Marany, do nowego schroniska, pod opiekę ojca Bezymy. Uradowany okazał jej dużo dobroci i miłosierdzia. Prosił też karmelitanki łobzowskie o modlitwy za nią, bo każda dusza jest cenna w oczach Boga. Od św. Ignacego nauczył się, że warto wszystko, nawet życie, poświęcić dla ratowania człowieka choćby od jednego grzechu śmiertelnego.

W ostatniej godzinie życia jego „piskłat”, w chwili ich odejścia z tego świata, ojciec Bezym otaczał je szczególną opieką i troską. Spieszył do nich o każdej porze dnia i nocy i dbał, by nikt nie umarł bez sakramentów świętych. Kiedy zdążył przed śmiercią kogoś ochrzcić, dziecko czy osobę dorosłą, cieszył się, że ta dusza jest już w niebie.

W tej gorliwości apostołskiej o zbawienie dusz myślał także o swojej zasłudze na niebo. Chciał, zgodnie z celem zakonu, zabiegać z pomocą łaski Bożej o swoje zbawienie i doskonałość oraz z pomocą tejże łaski usilnie starać się o zbawienie i doskonałość bliźnich.

Cały ojciec Bezym, ze swoją wiarą, nadzieją i miłością, z umiłowaniem Jezusa i dusz Jego krwią odkupionych, z pragnieniem dobra wiecznego dla swoich bliźnich, był w tej gorliwości o ich zbawienie. Całe jego życie było na wskroś apostołskie: pomagać duszom.

O. Mieczysław Bednarz SJ

POKORA OJCA JANA BEYZYMA SJ

Kiedy się czyta listy ojca Bezyzma, jest się zaskoczonym, więcej, oszołomionym jego pokorą. Gdy nazywano go „apostolem trędowatych”, protestował. Był on tylko niegodnym ich posługaczem i kompletnym zerem. Jeżeli powstał jakiś szum dookoła jego osoby, to tylko dlatego, że wysyłał listy do Misji Katolickich z prośbą o jałmużny dla chorych. I gdyby nie pomoc w modlitwach ze strony karmelitanek, toby nic nie zrobił przy swojej nieudolności.



Bł. Jan Bezym z trędowatymi przy fontannie na dziedzińcu nowego szpitala w Maranie.

ĆWICZENIE SIĘ W POKORZE

Licho szła mu praca i budowa schroniska, bo on sam był lichy. To jego grzechy i brak umartwienia były tego powodem. Gdyby kto inny, lepszy, był na jego miejscu, toby i chorym było lepiej, i Karmel polski stanąłby na wyspie. Oto opinie ojca Bezyzma o sobie, które swoim „kozackim stylem” przeciwstawiał tytułom dawanym mu przez podziwiające go karmelitanki lub inne osoby. Nie był „czcigodnym” ani „najprzewielebniejszym”, ale po prostu „nicponiem”, opryskiem, darmożjadem szukającym wygód i uciekającym od pracy. „Wiele je, a mało pracuje”.

Skarżył się, że tytułami jak „najczcigodniejszy Ojciec” ćwiczone go w pokorze, bo to „tak pasuje do niego jak kwiatek do zasmolonego kozucha”. Chwalenie go za heroizm, za poświęcenie i pracę, za znoszenie niedostatku itp. to przelewanie z pustego w próżne, bo to nie była nawet pokuta za jego grzechy... Kiedy pytano go, czy chorzy go kochają, odpowiadał: Jak można kochać takie „drańcie”? Jego praca dla chorych to był obowiązek i nie należała mu się za nią żadna wdzięczność. Podobnie pisał do urszulanek krakowskich. Prosił je o modlitwy, bo jego modlitwy były liche, a to dlatego, że on sam był licha wart.

Oto co wyznawał o sobie: „Byłem zerem, jestem zerem, daleko mi do pokory, poświęcenia i bohaterstwa”. Prosił siostry urszulanki o modlitwy, „żeby stał się prawdziwym sługą Jezusa Chrystusa, a nie był takim bydlęciem, jakim jest obecnie”. On ma być „apostolem Bożym”? Ależ to było wierutne kłamstwo! Przecież on darmożjad, nicpoń, próżniak, tylko Boga obrażał, a nic dla większej Jego chwały nie zrobił.

UFNOŚĆ „NAJOSTATNIEJSZEGO ŁOTRA”

Niekiedy unizając się, zdradzał swoje najgłębsze pragnienia. Do Matki Ksawery, ówczesnej przeoryszy Karmelu łobzowskiego, pisał: „Jestem najostatniejszym łotrem, ale nie chcę się wyłamać spod woli Najświętszej Pani”. Jego pokora nie przytłaczała go, nie odbierała mu ufności. „Nieprawość i niegodność moja jest niezmiernie, ale miłosierdzie Matki Najświętszej daleko większe, więc ufam”. Zdumiewała go niepojęta miłość Jezusa, który raczył wchodzić do jego plugawej duszy i nie brzydził się nim. Nie mógł też pojąć, jak Matka Najświętsza błogosławiła „takiemu drańciu” jak on.

Przez wiele lat pracował ofiarnie i owocnie w konwiktach jezuickich, w Tarnopolu i Chyrowie, ale nie przypisywał sobie żadnych zasług w zakonie. „Gdyby tak wszyscy byli zasłużeni, toby prowincję lichy wzięło”. A po dziesięciu latach pracy na Madagaskarze oskarżał się, że dla większej chwały Bożej prawie nic nie zrobił.

Patrząc codziennie na zeszcpeczone ranami i cuchnące ciała swych chorych, uważał, że były one piękniejsze od jego grzesznej duszy. Mając o sobie najniższe mniemanie jako o „opryszku i starym zbrodniarzu”, wysoko cenił innych, uniział się przed nimi. „Całuję



Bł. Jan Bezym z kobietami chorymi na trąd.

ślady stóp Przewiełbnej Matki” – pisał do przełozonej Karmelu łobzowskiego. Listy z Karmelu budowały go, czyniły lepszym, pocieszały, ale dziwił się, skąd on, „stare drańcie”, był w takich łaskach u karmelitanek.

Kiedy donosił Matce Stanisławie, urszulance, że miał na prawej ręce plamy, być może od trądu, dodawał, że cieszyłby się trądem, bo „jedno stare drańcie mniej na świecie i mniej obrazy Boskiej”. Lękał się sądu Bożego, bo nawet ojciec Marian Morawski nie zdołał zrobić z niego dobrego zakonnika; był „szelmą” i mało się poprawiał.

W MODLITWACH POKLADAĆ NADZIEJĘ

Mszę św. codziennie odprawiał z lękiem z powodu swej niegodności. „Bydle idzie do ołtarza i bydle wraca od ołtarza” – stwierdzał brutalnie, nie szcędząc ani siebie, ani swej adresatki, dawnej hrabiny, Matki Ksawery Grocholskiej, której to „bydlę” na pewno wydało się przesadne i niesmaczne. Pragnął jednak odprawiać godnie Najświętszą Ofiarę, „choć jest bydlę straszne”.



Bł. Jan Bezym opatruje chorego.

Ale „choć jest grzesznikiem i zbrodniarzem”, nie upadał na duchu, bo Karmel modlił się za niego. Nie w sobie, nie w swoich zasługach, ale w modlitwach karmelitanek za niego pokładał nadzieję. Był przekonany, że „tysiące Tatarów (Bezymbów) nie wyprosi tyle, ile jedna karmelitanka”. Wzywał Jezusa: „Jezu, zmiłuj się nade mną” – i prosił Go o poprawę, bo od dawna był „popsuty”. „Jezu, miej litość nade mną nikiem” – wyrывało mu się w liście do Matki Przełozonej Karmelu łobzowskiego.

Czasami próbował się trochę tłumaczyć i jakby usprawiedliwiać, dlaczego było z nim tak źle. Był sam, bez kierownika, „rozpuszczony jak dziadowski

bat”, „gałgan, jakiego świat nie widział”. „Dusza moja strasznie nędznie wygląda, politowania godna” – skarżył się Matce Kazimierze, karmelitance z Krakowa. On, zakonnik i kapłan od tylu lat, uczył się poddania woli Bożej od swoich chorych, prawie półdzikich Malgaszów, od Michała, Rafała, Józefa...

W ostatnim liście do Karmelu łobzowskiego skierowanym na ręce Matki Ksawery, łudząc się jeszcze, że pojedzie na Sachalin, pisał: „Pan Jezus i Matka Najświętsza są bardzo łaskawi dla mnie grzesznika i chcą się mną posłużyć na Sachalinie”. Był Im za to bardzo wdzięczny, ale prosił karmelitanki, by za niego dziękowały, „bo on sam taki niezdarny”.

UMORZYĆ SWOJE „JA”

Wszystko uczyło go pokory i małości. W czasie gwałtownej burzy z piorunami widział swoją małość wobec potęgi Stwórcy żywiołów i pragnął „umorzyć swoje podłe, obrzydliwe ja”, które ośmielało się Boga obrażać. „Wszystko wychwała wszechmoc Stwórcy, a tylko człowiek pod brzemieniem grzechu, z ranami na ciele i duszy pochyla się do ziemi smutny i ponury”. Ale z pomocą przychodziło miłosierdzie Boże, „Miłość Pana Jezusa do nas nie ma granic. Wszystkich nas chce mieć u siebie na wieki”.

„Co ja bym dał, żebyem mógł zupełnie umorzyć swoje ja, podłe ja, któremu daję się za nos wodzić; gdyby obrzydliwe ja nie było górą, nie byłoby tak źle na świecie jak jest obecnie”. Pełen dziecięcej miłości do Matki Najświętszej upokarzał się i przeproszał Ją, że nie był wdzięczny za Jej opiekę nad nim. Przeżywał bowiem okres spokojny, bez febry, bez plagi pcheł afrykańskich, a nie dziękował Jej za to. „Ale Ona najmiłosierniejsza przebaczy staremu złoczyńcy”.

Wszystko pokornie i wdzięcznie przypisywał Matce Najświętszej, bo on sam, jak to nieraz powtarzał, był kompletnym zerem. To Ona wszystkim rządziła i kierowała, a on był tylko narzędziem w Jej rękach. Nie było żadnego heroizmu w jego pracy dla trędowatych. „Matka Boża odkomenderowała mnie do trędowatych, to i jestem, ot i cała prawda”.

Pokorny, mały, biedny, znający swoją lichotę, ale zawsze ufny, daleki od pychy i od rozpaczki, zanurzony w miłosierdziu Boga i opiece Matki Najświętszej, modlił się, pracował i jakoś dawał sobie radę w tysięcy trudnościach i kłopotach. Taki był ojciec Bezym – mały w swej nieświadomej wielkości, bo wielka była jego miłość pokorna i służebna do końca.

O. Mieczysław Bednarz SJ

PROJEKTY MISYJNE

WODA DLA AFRYKI

ODWIERTY STUDNI GŁĘBINOWYCH I INSTALACJA POMP RĘCZNYCH W MUMBWA



Mieszkańcy wioski dziękują za wodę.

KRÓTKA HISTORIA PARAFII W MUMBWA

Parafia pw. Chrystusa Króla w Mumbwa została założona w 1953 roku. Siedziba parafii była w Karendza, ponad 50 km na północ od Mumbwa. Pierwszym misjonarzem pracującym w parafii był ojciec Piotr Świerczek SJ, który rezydował w Karendza. Dopiero w 1970 roku siedziba parafii została przeniesiona do Mumbwa.

Mumbwa leży 155 km na zachód od Lusaki, stolicy Zambii, w archidiecezji Lusaka. Jest jedną z wielu parafii w prowincji ojców jezuitów Zambia – Malawi. W 2003 roku parafia świętowała złoty jubileusz, a diamentowy obchodzono w 2013 roku. Od tego czasu parafia rozrosła się i obecnie obejmuje 40 stacji misyjnych. Najdalej położona z nich znajduje się na terenie Parku Narodowego Kafue w Chunga, około 130 km na zachód od Mumbwa. Do większości z nich (około trzech czwartych z 40 stacji) w porze deszczowej nie można dojechać żadnym środkiem lokomocji z powodu złego stanu dróg.

Obecnym proboszczem parafii Chrystusa Króla w Mumbwa jest Zambijczyk, piszący te słowa ojciec Bboloka Nchimunya SJ.

POTRZEBA WODY

Mimo że parafia powstała dawno temu, podstawowe potrzeby życiowe jej mieszkańców nie są zaspokojone. Nadal mamy problemy z opieką zdrowotną, edukacją oraz zapleczem sanitarnym. Warunki sanitarne w naszych wspólnotach zostały nieco poprawione dzięki instalacji studni z pompą ręczną, z czego ogromnie się cieszymy. Woda jest życiem i my w naszej społeczności rzeczywiście to odczuwamy. Było wiele radości, gdy wiercono studnie i zakładano pompy ręczne we wszystkich wspólnotach parafii. Podjęto próby odwiertów wodnych w ośmiu wioskach:

1. Shimbizyi (około 15 km na wschód od siedziby parafii)
2. Namunde (około 12 km na wschód od siedziby parafii)
3. Shamuzinga (około 25 km na wschód od siedziby parafii)
4. Lumbama (około 10 km na wschód od siedziby parafii)
5. Mukanda (około 12 km na zachód od siedziby parafii)
6. Mulendema (około 20 km na zachód od siedziby parafii)
7. Lungobe (około 25 km na zachód od siedziby parafii)
8. Kawama (około 40 km na północ od siedziby parafii).

Na osiem prób odwiertów sześć zakończyło się sukcesem, ale dwa natrafiły na trudności. W Kawamie otwór został wywiercony i pompa zainstalowana, ale nie mogliśmy wydobyć z niej wody. Punkt dotarcia do niej wydaje się bardzo głęboko. Podjęto nawet próbę zmagazynowania wody, ale do tej pory nie przyniosło to efektów. W Lungobe próba odwiertu zakończyła się całkowitym niepowodzeniem, ponieważ natrafiono na „czarny kamień” – tak twardy, że żadne wiertło nie jest w stanie go skruszyć.

Cieszymy się jednak ogromnie, że na osiem prób sześć zakończyło się sukcesem. Oznacza to, że zmniejsz-

szyla się liczba miejsc, w których występują kłopoty związane z wodą.



Rodzina przy studni w parafii Mumbwa.

KORZYŚCI

Powstanie studni głębinowych z pompą znacznie zmniejszyło odległości, które trzeba było pokonać, by zaopatrzyć się w czystą wodę pitną. Zwykle po wodę mieszkańcy musieli chodzić około siedem kilometrów. Obecnie studnie znajdują się znacznie bliżej – w promieniu około jednego kilometra. Jakość wody także uległa poprawie. Z powodu zanieczyszczenia woda w otwartych studniach i pobliskich rzekach nie była najlepsza.

Pompy wodne zachęcają również do solidarności, życia społecznego, odpowiedzialności i dyscypliny. W każdej wiosce utworzono komitet, który troszczy się o studnie. Zbiera się też fundusze na dofinansowanie, naprawy i konserwacje studni głębinowych. Kościół również bardzo skorzystał, ponieważ w wio-



Studnia ufundowana dla parafii Mumbwa przez Darczyńców Referatu Misyjnego Jezuitów w Krakowie.

skach, w których znajdują się studnie, może zorganizować duże zgromadzenia i nie musimy się martwić o wodę.

Zobowiązujemy się do utrzymania naszych studni i zapewniamy, że poprawiamy styl naszego życia.

WDZIĘCZNOŚĆ

Dziękujemy Bogu Wszechmogącemu za Benefaktorów Referatu Misyjnego Prowincji Polski Południowej Jezuitów, za Waszą solidarność i ofiarność. Prosimy Boga, aby nadal Wam błogosławił. Bardzo nam pomogliście, wnieśliście w nasze życie nadzieję. Obiecujemy, że także my będziemy pomagać najbardziej potrzebującym w naszych wspólnotach. Razem zmienimy oblicze ziemi i uczynimy ją lepszym miejscem do życia. Bardzo dziękujemy.

*O. Elias Bboloka Bubala Nchimunya SJ,
proboszcz parafii Mumbwa, 15.12.2017*

Tłum. red.

SMAK WODY W HIMUKULULU

Wioska Himukululu leży we wschodniej części parafii Chikuni. Jest oddalona o 53 km od centrum naszej parafii. Otaczają ją góry. Po zachodniej stronie wioski w okresie deszczów płynie potok. W Himukululu mieszka około 260 osób, które mają 65 sztuk bydła, 7 osłów oraz 645 sztuk drobnego inwentarza.

PROBLEMY Z ZAOPATRZENIEM W WODĘ

Podczas opiniowania działań wszystkich szkół radiowych „Taonga” w parafii Chikuni jej dyrektor



Kobieta idąca w dół rzeki, by czerpać wodę.

i proboszcz parafii, jezuita, ojciec Gregory Mulobela, pracujący z panią Tricent Milimo, zauważył, że mieszkańcy wioski Himukululu mają poważne problemy z zaopatrzeniem w wodę. Informacje o braku wody w tym regionie poruszyły wiele osób, a ludzie dobrej woli zaczęli zbierać pieniądze, by wesprzeć wiercenie studni głębinowej w wiosce.

Jako animator społeczny zostałem wyznaczony do zbadania problemu mieszkańców doliny, w której położona jest wioska Himukululu. Odkryłem, że ludzie w tej wiosce mieli jedno źródło wody w promieniu 8 km. Znajdowało się ono w korycie potoku, na głębokości około 70-80 m, a prowadziła do niego schodząca w dół 500-metrowa dróżka. Trzeba było mieć dużo odwagi, by zejść na głębokość 80 m i tam – na dnie koryta rzeki – czekać ponad dwie godziny, by napłynęła woda, a następnie po zaczerpnięciu wody wyjść na górę z 20-litrowym wypełnionym pojemnikiem na głowie, w bardzo upalne dni; od października do listopada w południe temperatura przekracza tu 40 st. C.



Kobiety z dziećmi idą po wodę.

TRUD CZERPANIA WODY

Kiedy kobiety i dzieci schodzą po zboczu na dno rzeki, nie mają pewności, czy znajdą tam wodę. Na dnie koryta muszą nieraz czekać nawet pół dnia, by w otworze zebrała się wystarczająca ilość wody. Po odpowiednio długim oczekiwaniu kobiety sprawdzają, czy nadszedł już czas, by zacząć dzielić między siebie wodę, która napłynęła do otworu. Naczynie z wodą kobieta, która ją czerpie, podaje na powierzchnię drugiej, a ta wlewa ją do wspólnego wiadra. Pod koniec czerpania woda ma już ciemnobrunatny kolor. To znak, że woda się kończy. Gdy w otworze wody już nie ma, kobieta czerpiąca ją wychodzi z niego i wspólnie z innymi czeka kilka godzin, by znów się pojawiła. I tak trwa to do wieczora.



Kobiety i dzieci czekają, aż woda podejdzie, by ją czerpać.

PROŚBA O POMOC

Kobiety wraz z pomagającymi im dziećmi często wspinają się z powrotem pod górę rozczarowane i niezadowolone, ponieważ wracają do domu z bardzo małą ilością wody. Właśnie to skłoniło kapłanów pracujących w parafii Chikuni – ojca Andrzeja i ojca Gregory'ego – by poprosić ojca Tomaszewskiego z Polski o pomoc w wywierceniu studni głębinowej dla mieszkańców wioski. Stało się to możliwe dzięki ofiarności i hojności Ofiarodawców Referatu Misyjnego Prowinjii Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego, którzy przekazali na ten cel środki.



Kobieta schodzi na głębokość 2 metrów, aby czerpać wodę.



Pierwszy talerz wody wyciągnięty z otworu.



Widoczna w wiadrze brudna, brązowa woda.



Po zbieraniu brudnej wody kobiety i dzieci wracają do wioski.

KARKOŁOMNE ZADANIE

Do zrobienia odwiertów w dolinie w 2016 roku została zaangażowana firma wiertnicza o nazwie Nova Drilling. Miała ona rozpocząć prace dzięki finansowemu wsparciu wspianiałych Polaków, które przekazali mieszkańcom pracujący w parafii Chikuni jezuicki misjonarze. Realizacja przedsięwzięcia okazała się jednak trudna. Ku rozczarowaniu mieszkańców wspomniana firma nie była w stanie pokonać prowadzącego do wioski 13-kilometrowego odcinka drogi w bardzo złym stanie.



Mieszkańcy wioski śpiewają, witając wierzących studnie.

Dział zaangażowania społecznego szkół radiowych „Taonga” w parafii Chikuni ciągle otrzymywał informacje, że ludzie z wioski w dolinie pilnie potrzebują wody. Dzięki mieszkańcom wioski Himukululu, szczególnie osób odpowiedzialnych za sprawy społeczne, a także dzięki wsparciu jezuickich kapłanów z misji Chikuni udało się znaleźć inną firmę wiertniczą – Gallant, która zgodziła się podjąć próbę dotarcia do wioski w dolinie mimo złej drogi. Decyzja ta była odważnym krokiem, ponieważ inne firmy wiertnicze ciągle odmawiały podjęcia się tego zadania, ze względu na bardzo złe warunki terenowe. Nowa firma wiertnicza dotarła na miejsce, jednak w czasie drogi została trochę uszkodzona maszyna wiertnicza.



Wiercenie studni.

UDAŁO SIĘ!

W pierwszym odwiercie na głębokości 50 m nie znaleziono wody. Wśród mieszkańców wioski wywołało to panikę i strach. Ludzie tak bardzo chcieli mieć wodę. Wybrano więc inne miejsce i ponownie zaczęto wiercić. W nowym miejscu znaleziono wodę na głębokości 48 m. Mieszkańcy wioski byli bardzo szczęśliwi, ale wynegocjowali z wierzącymi, że pogłębią odwiert jeszcze o 5 m, co zapewni wystarczającą ilość wody, a w przyszłości pozwoli uniknąć wyschnięcia studni. Pracownicy firmy zgodzili się, zażądali jednak dodatkowej opłaty w wysokości 1000 kwacha. Mieszkańcy wioski zebrali pieniądze i wywiercono dodatkowych 5 m.

To, co wydawało się niemożliwe, zostało w końcu zrealizowane i w dolinie zapanowała radość. Młodzi i starzy mieszkańcy wioski w dziękczynnych pieśniach wspólnie wielbili Boga. Dziękowali też księżom jezuitom, którzy przekazali wsparcie finansowe z Polski. W dolinie rozległy się radosne okrzyki. Wieczorem 31 lipca 2017 roku, około godz. 20.50, Betty Michelo Hawaala napełniła wodą ze studni pierwsze wiadro.

NADZÓR NAD ODWIERTEM

Trzy miesiące później odwiedziłem wioskę i sprawdziłem, czy ustalono sposób nadzorowania odwiertu. Pompę ręczną ma bowiem utrzymywać lokalna społeczność. W tym celu zbierane są opłaty: 20 kwacha rocznie od każdego gospodarstwa domowego oraz 50 kwacha rocznie od właścicieli bydła. W czasie pobytu w wiosce rozmawiałem z miejscowymi kobietami, które opowiedziały mi o swoich wcześniejszych doświadczeniach.

WSPOMNIENIA Z TRUDNYCH CZASÓW

Joyce Kachoma z wioski Himukululu, 43-letnia matka dziesięciorga dzieci, żona Benjamina Hawaala.

Pokazuje 20-litrowy pojemnik i opowiada o nocach spędzonych na dnie koryta rzeki, gdzie czekała, aby napełnić pojemnik. Dziś dzięki pompie może napełnić go w ciągu pięciu minut. Dodała też, że hodowane przez nią kurczęta co roku przez prawie pięć miesięcy, od czerwca do listopada, czasem grudnia, nie miały dostępu do wody. I jak mówi, to cud, że bez wody wytrzymały tak długo.



Betty Michelo Hawaala z wioski Himukululu podlewa sadzonki moringa.

Betty Michelo Hawaala z wioski Himukululu (65 lat), matka dziesięciorga dzieci, żona Nixona Hawaala, miejscowego nauczyciela alfabetyzacji dorosłych, opowiada, że chodziła po wodę do rzeki Kalulufuwa 8 km w kierunku wioski Munyumbwe, na terenie parafii Fumbo. Była zmuszona szukać wody tak daleko, gdy przez tydzień z braku wody nie mogła się wykąpać. Opowiadała również, że swoje dziecko myła „z kubka” wody, przez dłuższy czas nie miała jak uprać dziecięcych pieluch czy ubrań członków rodziny. Kiedy wyruszała po wodę tak daleko, nie było jej w domu przez cały dzień. Wracając o ósmej wieczorem bardzo zmęczona po pokonaniu dystansu około 16 km z 20-litrowym pojemnikiem na głowie. Od razu więc kładła się spać, nie karmiąc nawet dziecka. Dziś jest bardzo szczęśliwa, ponieważ może z łatwością zaczerpnąć czystą, zdatną do spożycia wodę. Ma też wodę potrzebną w gospodarstwie domowym i w jej poszukiwaniu nie musi już pokonywać długich dystansów. Pokazała nawet swoje czyste ubranie i powiedziała, że teraz może śmiało popatrzeć w obiektyw, bo już nie musi się wstydić. Nikt nie pomyśli, że jest nieporządną kobietą. Na zdjęciu widać, jak podlewa sadzonki moringa.



Terryness Hawaala z wioski Himukululu, matka ośmiorga dzieci, opowiada swoją historię.

Wśród opowiadających swoje historie jest również Terryness Hawaala, także z wioski Himukululu. To matka ośmiorga dzieci, żona pana Hawaala. Zapewnia, że teraz, kiedy mają dostęp do wody i może pić, ile chce, ma też wystarczająco dużo pokarmu dla swojego rocznego dziecka. Przed zainstalowaniem pompy ręcznej piła mało albo w ogóle, miała więc duże trudności: dziecko w nocy płakało, a ona nie mogła go nakarmić, ponieważ nie miała mleka.



Eunice Kaluwe z wioski Himukululu opowiada o swoich problemach.

Eunice Kaluwe to 34-letnia matka sześciorga dzieci. Skarzyła się na bóle w klatce piersiowej, potrzebowała pomocy medycznej. Problem był spowodowany noszeniem przez nią ciężkiego naczynia z wodą na głowie i pokonywaniem z nim dużych odległości. Eunice opowiada też, że z powodu kłótni o wodę popsuły się jej dobre relacje z sąsiadkami.

Na zdjęciu widać Eunice z Betty, która rozdziela wodę z dodatkowego pełnego wiadra, tym razem bez żadnych kłótni. Eunice powiedziała, że ujęcie wody w wiosce poprawiło stosunki między kobietami, które wcześniej kłóciły się podczas czerpania wody na dnie rzeki. Eunice jest teraz bardzo szczęśliwa, że nie będzie musiała już więcej pokonywać długich dystansów, by zdobyć dla siebie i swojej rodziny trochę wody.



Eunice wraz z Betty rozdziela wodę.

Kobiety opowiadały też, że niemal codziennie, w ciągu dnia lub wieczorem, w korycie rzeki napotykały węże. Czasami do wodnego otworu, z które-

go czerpały wodę, wpadały psy, zanieczyszczając go. Kobiety wiedziały o tym, ale nie było innego wyjścia – trzeba było korzystać z tego otworu i dalej czerpać z niego wodę. Wokół otworu na dnie koryta latały też liczne pszczoły i nieraz żądliły szukających tam wody.

Mieszkancki wioski mówiły, że było im trudno całymi dniami nie móc się wykąpać. Do higieny osobistej używały szmatek nasączonych odrobiną wody. Niektóre z nich skarżyły się również, że ich mężowie uważali je przez to za mało atrakcyjne.

Inny problem to kozy, które w poszukiwaniu wody oddalały się od wioski i gdzieś się gubiły. Od czasu zainstalowania nowej pompy ręcznej nie zginęła żadna z nich. Jedna z kobiet dodała, że teraz, gdy mają wodę, nie zdycha też bydło.

Poniższe zdjęcia obrazują niektóre z tych historii.



Wokół pompy pojemniki z czystą wodą, jakiej nie mieliśmy tu od lat.



Teraz młodzież z łatwością podlewa drzewka moringa posadzone w pobliżu studni.



Starsze kobiety noszą czystą wodę, którą można pić i którą czerpią niedaleko swoich domów.



Kobiety spodziewające się dziecka, jak Sylviour Hawaala (20 lat), z łatwością mogą zaczerpnąć wodę i przynieść ją do domu.



Dziewczęta bez trudu mogą napoić domowe zwierzęta: kozy, osły, owce i bydło.



Kozy nie gubią się już w poszukiwaniu wody. Łatwo można je znaleźć w pobliżu pompy codziennie o stałej porze, a to pozwala ludziom zaangażować się w inne prace, a nie szukać na pustkowiu zaginionych zwierząt.

PODZIĘKOWANIE

Dostęp do czystej, nadającej się do spożycia wody, bezpiecznej dla ludzi i zwierząt hodowlanych, to jeden z podstawowych warunków wzrostu ekonomicznego. Dzięki poprawie zaopatrzenia w wodę i warunków sanitarnych można osiągnąć mnóstwo korzyści ekonomicznych, społecznych i zdrowotnych, a to budzi w lokalnej społeczności nadzieję. Jako wspólnota Himukululu dziękujemy Dobroczyńcom Referatu Mi-

syjnego Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego, którzy wpłacili środki na wywiercenie naszej studni. Dziękujemy, że pamiętali o nas w naszej niedoli i że mogliśmy poznać smak czystej wody. Nigdy nie zapomnimy tego cennego doświadczenia, które zmieniło nasze życie na lepsze.

Catson Mukanu, animator społeczny

Tłum. i oprac. red.

Drodzy przyjaciele Referatu Misyjnego Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego, Wasze dobre serce i hojność odmieniły życie wielu ludzi w parafii Chikuni. Jesteście źródłem radości i nadziei dla mieszkańców doliny Himukululu i wielu innych wiosek w naszej parafii, w których dzięki Waszej pomocy mogliśmy wywiercić studnie głębinowe. Zarówno nasi parafianie, jak i my, jezuici, będziemy zawsze Wam wdzięczni. Niech Bóg Was błogosławi.

*O. Tadeusz Świdzki SJ,
misjonarz z Zambii*

KOŚCIÓŁ NA MADAGASKARZE

ODBUDUJMY KAPLICĘ ZMIECIONĄ PRZEZ CYKLON

Witaj Ojcze, w końcu zabieram się do pisania.

Prawdę mówiąc, ojciec Jan Beyzym, jezuita, misjonarz i Apostoł trędowatych na Madagaskarze nie jest bardzo znany ogółowi społeczeństwa, nawet w Kościele katolickim. Jego kult jest za mało propagowany, a Malgasze zapytani o ojca Beyzima często stwierdzają: „Nie słyszeliśmy o takim”. W języku malgaskim jest co prawda kilka broszurek czy książek poświęconych mu, ale nie jest tego za wiele.

JAN BEYZYM I JEGO CZARNE PISKLĘTA

Dzieło opieki nad trędowatymi ojciec Jan Beyzym rozpoczął już w leprozorium w Ambohivoraka (istniejącym od 1872 roku) koło Antananarivo, gdzie zaraz po przybyciu na Madagaskar (30 grudnia 1898 roku) został skierowany przez przełożonych. W 2012 roku, z okazji setnej rocznicy śmierci bł. Jana Beyzima, uwieczniliśmy to wydarzenie stelą, pomnikiem, a w uroczystościach wziął udział były przełożony Krakowskiej Prowincji Towarzystwa Jezusowego o. Wojciech Ziółtek, Honorowy Konsul Polski w Antananarivo pan Zbigniew Kasprzyk wraz z małżonką panią Beatą Kasprzyk oraz polscy misjonarze, w tym dwóch jezuitów: o. Józef Pawłowski i o. Tadeusz Kasperczyk.

Pragnienie realnej pomocy trędowatym ojciec Beyzym w pełni w czyn zamienił dopiero w wybu-

dowanym przez siebie szpitalu w Maranie. Istniejącą na zboczach góry Kianjasoa (czyt. Kianzaszua) maleńką osadę dla trędowatych przemienił w nowoczesny jak na owe czasy szpital. Wcześniej, do 1902 roku, do momentu przybycia tam ojca Beyzima, trędowatymi – jak mógł – opiekował się br. Aleksy Dursap SJ. Jednak to dopiero ojciec Beyzym zapewnił chorym na trąd, których czule nazywał „czarnymi pisklętami”, konieczną opiekę zarówno pielęgnacyjną, jak i du-



Ks. Henryk Sawarski, Port-Bergé, Antananarivo.

chową. Swoich podopiecznych powierzył Najświętszej Pani, Czarnej Madonnie z Częstochowy, której wizerunek przywiózł na Madagaskar z Krakowa. Króluj Ona teraz wśród jego „czarnych piskląt”, którzy lgną do Niej jak do swojej Matki, prosząc o pomoc, opiekę, o potrzebne łaski. Kaplica wybudowana przez ojca Beyzyna, w której umieścił przywieziony przez siebie wizerunek Jasnogórskiej Pani, jest obecnie jego sanktuarium.

WSPOMNIENIE SPRZED 40 LAT

Co mnie skłoniło do włączenia się w propagowanie kultu bł. Jana Beyzyna, w szerzenie go na Czerwonej Wyspie? Otóż jeszcze jako kleryk w Polsce, myśląc już o wyjeździe na misję, przeczytałem książkę „Ojczyzna z wyboru” autorstwa Teresy Weyssenhoff (wyd. 1966 r.), opowiadającą o Janie Beyzymie, i to ona stała się dla mnie duchowym dopingiem do powzięcia decyzji, że to właśnie Madagaskar będzie moją misją. Będąc na kursie języka malgaskiego w Ambositra, mieszkając w dawnej rezydencji jezuitów, 24 czerwca 1979 roku wraz z nieżyjącym już polskim orionistą ks. Janem Osmalkiem oraz panem Ryszardem Misiem rodem z Będzina, legionistą ożenionym z Malgaską (po śmierci pochowanym we Fandriana na Madagaskarze), pojechałem do Marany. Tam razem odwiedziliśmy grób ojca Jana Beyzyna, spoczywającego wśród swoich „czarnych piskląt”. W kaplicy odprawiliśmy Mszę św., używając kielicha i pateny ojca

Beyzyna. A później jeszcze wiele razy okazjnie czy pielgrzymkowo zajeżdżałem do Marany.

To moje wspomnienia sprzed 40 lat. Obecnie od dwóch lat pracuję na północy wyspy, 600 km od stolicy Antananarivo, w diecezji Port-Bergé. Jestem m.in. kapelanem miejscowego szpitala, a mojej kapelanii nadałem patronat bł. Jana Beyzyna. Posługuję także w więzieniu, w którym obecnie przebywa 205 więźniów (w tym 10 kobiet i 30 małoletnich), propagując kult Bożego Miłosierdzia, jednocześnie pomagam tutejszemu proboszczowi w parafii pw. Serca Jezusowego. Właśnie na terenie naszej parafii, w odległości ponad 2 km, jest wioska trędowatych. Była tam kaplica, która w 2010 roku została zmieciona przez cyklon i do dziś nie udało się jej odbudować. A w głowie misjonarza rodzi się wiele pomysłów... O jednym z nich pragnę napisać.

OSADA DLA TRĘDOWATYCH

Wioska Antananivo została założona przez Księży Misjonarzy Ducha Świętego. To ks. Peter i ks. Banio podjęli decyzję, by stworzyć centrum dla trędowatych z okolic Port-Bergé i ich tam leczyć. Malgasze chorych na trąd uważali za nieczystych, stąd wypędzano ich z wiosek i izolowano. W 1964 roku wspomniani księża Peter i Banio zbudowali domy dla chorych na czas pobytu i leczenia aż do całkowitego zalecenia. Stworzyli i zapewnili chorym potrzebne warunki duchowe i materialne. Na początku powstały tzw. trano bongo (czyt. czanu bungu), chaty z trzciny i gliny, pokryte strzechą.

Kiedy wszystko było gotowe, założyciele osady ogłosili, że przyjmują na leczenie „boka” (czyt. buka), to znaczy trędowatych. Na ich apel wielu odpowiedziało. Znamy nawet ich nazwiska. Jako pierwsi leczeniu poddali się panowie: Tsivoana, Marozama, Gilbert, Toto, Biafara, Mosa, Lemiasa, Bilalahy, Tiandrazana,



Ks. Henryk w Port-Bergé, Antananivo, na tle malgaskiego domu.



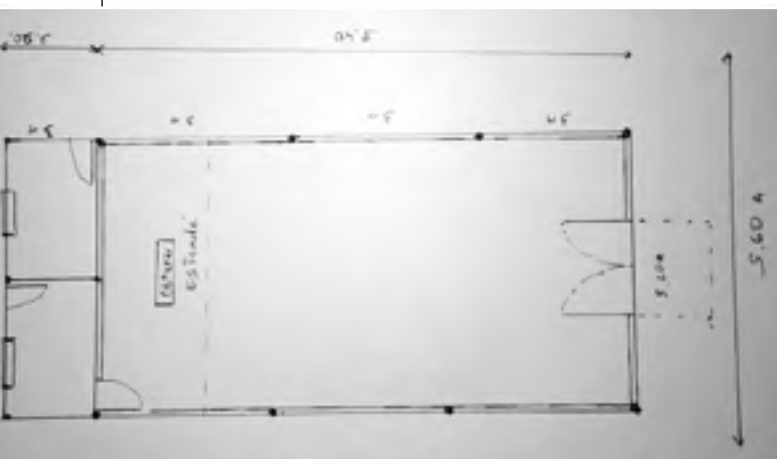
Miejsce, gdzie dawniej była kaplica.



Tombozara oraz panie: Estera, Rahita, Valizy, Tobatsara, Nkavitra, Kola, Mariazy, Bemandrany, Tsimisarakana, Javoavy. Jak podają kroniki, choroba pierwszych pacjentów została zaleczona, dziś jednak nikt spośród tej pionierskiej grupy już nie żyje.

W trosce o opiekę duchową i ewangelizację ks. Banio w 1970 roku zbudował kaplicę. Katechista Lemiasa, jeden z mieszkańców wioski, trędowaty, gorliwie pomagał misjonarzom w głoszeniu Ewangelii i nauczaniu katechizmu, w prowadzeniu niedzielnych modlitw, przygotowaniu do sakramentów itd. Prawie wszyscy zostali ochrzczeni i stali się gorliwymi chrześcijanami.

Po 40 latach cyklon – jak wspominałem – zmiotł kaplicę w Antananivo i do dnia dzisiejszego nie została ona odbudowana. Misjonarze odeszli, a na ich miejsce przyszli tutejsi księża diecezjalni, o mniejszej gorliwości apostołskiej. Ze względu na brak kaplicy wierni z wioski siłą rzeczy musieli chodzić na Msze do parafii. Ponoć były przymiarki do odbudowy kaplicy, ale nie udało się zebrać odpowiedniej kwoty. Tymczasem brak kaplicy w dogodnej odległości, a co



Plan nowej kaplicy.

za tym idzie niedzielnej Eucharystii, modlitewnych spotkań czy innych form duszpasterskiej troski spowodowało osłabienie zainteresowania religią i gorliwości w wyznawaniu wiary. Do kościoła parafialnego na katechezę i nabożeństwa chodzili tylko nieliczni.

Jeśli chodzi o leczenie i opiekę zdrowotną nad mieszkańcami wioski, to księżom w ich pracy pomagały Siostry Franciszkanki. Wśród nich były siostry: Margueritte, Martine, Denise, Bernadette, Paule, Marthe, Claudine, Yolande, Mauricia. Ta ostatnia do dziś systematycznie rozdziela lekarstwa chorym, którzy przychodzą do ambulatorium (dispensaire) i proszą o pomoc.

PROJEKT ODBUDOWY

Gdy mieszkańcy wioski dowiedzieli się o projekcie odbudowy kaplicy, zapanowała wielka radość. „W końcu będziemy mieli kościół, blisko, na miejscu!” – cieszyli się. Powiedziałem im jednak: „Moramora” (czyt. muramura), to znaczy: „Powoli, powoli”. To dopiero tylko projekt. Módlcie się mocno do Miłosiernego Pana Jezusa i do bł. Jana Beyzyna i proście o pomoc, aby ten projekt mógł zostać zrealizowany. Ja także, nawiasem mówiąc, w cichości serca, mam nadzieję, że bł. Jan Beyzym, Apostoł trędowatych, pomoże nam. Chcemy też, by ojciec Beyzym był patronem tego kościółka, a także wioski trędowatych.

Pierwsza kaplica o długości 9 m, szerokości 5 m i wysokości 3 m z gliny i trzciny, kryta strzechą, nie

LISTE MATERIAUX EGLISE					
N°	DESIGNATION	QUANTITE	UNITE	PRIX	MONTANT
01	Ciment CPA 42,5	260	Sac	26 000	6 760 000
02	φ 12	20	Bar	30 000	600 000
03	Fer de recuit	15	Kg	5 000	75 000
04	φ 10	31	Bar	22 000	682 000
05	φ 8	54	Bar	14 000	476 000
06	φ 6	88	Bar	10 000	880 000
07	Mobilier 20 x 15	1600	Pc	2 00	320 000
08	Gravillon 5 x 15	950	Daba	6 00	570 000
09	Sable	46	m ³	24 000	1 104 000
10	Perronnage 4x7	25	m ²	10 000	150 000
11	Tôle 3,30 m 0,40	35	feuille	40 000	1 400 000
12	Tôle 2m 0,40	36	feuille	25 000	400 000
13	Rondelle Feutre	10	Sac	5 000	50 000
14	Madrier 7x15	36	Pc	25 000	900 000
15	Carré 7 x 7	22	Pc	10 000	220 000
16	La chaux	05	Sac	9 000	27 000
	Porte 2,30 x 2,40m	01	Pc	210 000	210 000
	Plat 2 x 0,50m	03	Pc	120 000	360 000
	Fenêtre 1 x 1,10m	02	Pc	90 000	180 000
	Pommele 140	04	Bt	30 000	120 000
	Peinture à l'huile	035	Kg	7 000	245 000
	Pointe 50 x 16	195	Kg	5 000	975 000
	70 x 18	10	Kg	5 000	50 000
	100 x 20	10	Kg	5 000	50 000
	60 x 20	10	Kg	5 000	50 000
					TOTAL: 16 154 000A
TRANSPORT:					MAIN D'OEUVRE: 4 600 000

Kosztorys.



Ks. Henryk z dziećmi z wioski trędowatych.

wytrzymała podmuchu cyklonu. To była zresztą leciwa kaplica, nie pomógł też nędzny materiał, z którego została wybudowana. Przy kaplicy był nawet 15-kilogramowy dzwon, który po cyklonie przechowywała jedna z miejscowych rodzin. W tym roku jednak, w Wielki Piątek, kiedy rodzina poszła na modlitwy do parafii, do ich domu wtargnęli złodzieje i ukradli m.in. nasz dzwon, który do dziś się nie odnalazł. Przepadł bez śladu.

ANTANANIVO I JEJ MIESZKAŃCY

Wioska trędowatych Antananivo położona jest w odległości ponad 2 km na wschód od naszej parafii pw. Serca Jezusowego. Te okolice zamieszkuje szczerp Tsimihety. To jeszcze pogańska ludność, stąd też ewangelizacja nie jest łatwa. Mieszkańcy tej wioski to ludzie prości, rolnicy i hodowcy. Uprawiają ryż, kukurydzę, maniok, groch, cebulę, banany, trzcinę cukrową, trochę warzyw, hodują woły, kozy, ptactwo domowe...

Praca na polu odbywa się tu nadal metodami tradycyjnymi. Oprócz łopaty miejscowi rolnicy nie mają żadnych narzędzi rolniczych. Zebrane plony zależą głównie od obfitości opadów. Niektórzy zajmują się przydrożnym handlem, sprzedając sezonowe owoce. Ogólnie mówiąc, ludzie są tu bardzo biedni. Wioska Antananivo liczy 150 mieszkańców, w tym 40 dzieci do lat 12, 35 młodych osób w wieku 13-20 lat. Na studiach w Mahajanga, Antananarivo czy Antsiranana (Diego Suarez) jest 10 osób. Katolików ochrzczonych jest 25, protestantów – 6 osób. Reszta to sympatyzujący, tzn. jeśli będzie ksiądz przyjeżdżał do wioski, to będzie więcej osób, szczególnie dzieci, które trzeba katechizować.

Według statystyki siostr w wiosce przebywa jeszcze 25 trędowatych na ciągłym leczeniu, 5 osób niepełnosprawnych oraz jedna osoba niewidoma. Ich domy mieszkalne to chatki z gliny i trzciny, kryte strzechą, tzw. trano bozaka (czyt. czanu buzaka). Takich domów jest tu 20, są też w wiosce trzy domy wybudowane z pustaków i kryte blachą oraz jedna budowla otwarta – sam dach na czterech słupach. Ta ostatnia to miejsce spotkań mieszkańców wioski. W wiosce nie ma szkoły. Gorliwsze dzieci chodzą do szkoły pieszo do miasta Port-Bergé pełną i zakurzoną drogą w porze suchej, a błotnistą w porze deszczowej. Wielu starych, chorych i niedołączonych prosi nas o pomoc.

GORĄCA PROŚBA O POMOC

Tak oto, pokrótce, wygląda nasza sytuacja. Sami jesteśmy bezradni. Projekt nowej kaplicy opiewa na 8 tys. euro. To dla nas ogromna kwota. Bardzo prosimy o pomoc. Lokalna wspólnota zobowiązała się – w miarę swoich możliwości – pomagać przy wykonywaniu prostych robót związanych z przygotowaniem terenu pod budowę, pomagać przy wykopie fundamentów oraz dostarczaniu potrzebnych materiałów na plac budowy. Nie jesteśmy jednak w stanie zbierać tak wielkiej sumy na zakup potrzebnych materiałów budowlanych. Prosimy Czcigodnych i Ofiarnych naszych Braci i Siostry w Chrystusie w Polsce, w Ojczyźnie naszego Wielkiego Patrona i Opiekuna, bł. Jana Beyzyma, o pomoc w wybudowaniu w naszej wiosce kościoła. Jesteśmy pełni ufności, że prośba ta zostanie wysłuchana. Z góry za to dziękujemy. Serdecznie pozdrawiamy.

W imieniu lokalnej wspólnoty w Antananivo

Ks. Henryk Sawarski



LISTY Z KRAJÓW MISYJNYCH

PROŚBY

LIST BISKUPA

S.E Georges VARKEY PUTHIYAKULANGARA
Évêque du diocèse de Port-Bergé
B P : 5
PORT-BERGE
MADAGASCAR



Port-Bergé, le 26 Septembre 2017

Au

Révérend Père Czesław TOMASZEWSKI s.j.
Procure Missionnaire
KRAKOW

Objet : Lettre de recommandation.

Cher Révérend Père Czesław TOMASZEWSKI

Notre région, à savoir les districts de Mandritsara, Port-Bergé et Mampikony compris, a une superficie de 23 367 000 km² pour une population de plus de 800 000 d'habitants. Tout cela a besoin d'être sauvé et certains ont soif de l'évangile. Évangéliser et prêcher la Bonne Nouvelle n'est pas un choix de l'Église mais un devoir. Pour arriver à ce projet, il faut construire une petite église et à partir de là, on peut avancer avec beaucoup de choses. D'ailleurs, On ne peut pas parler développement sans infrastructure.

A cet égard, je porte un grand intérêt à ce projet, qui me semble essentielle pour les paroissiens qui sont très loin de l'Église. C'est la raison pour laquelle je vous recommande le Père Henryk SAWARSKI, Vicairé Épiscopal dans mon Diocèse (membre du Groupe de l'Apostolat de la Miséricorde Divine à Madagascar) de construire une petite Eglise à Antanagnivo, village de lépreux et cette église sera sous le patronage de bienheureux le Révérend Père Jean BEYZYM, s.j, apotre de lépreux Madagascar.

Comptant sur votre compréhension, nous espérons avoir un écho favorable de votre part et je vous prie de bien vouloir recevoir, cher révérend Père, mes plus respectueuses salutations dans le Seigneur. Je vous remercie par avance de votre soutien dans notre mission.



Mgr Georges VARKEY, M.E.P

J.E. Georges VARKEY PUTHIYAKULANGARA
Biskup diecezji Port-Bergé
Skr. pocz. 5
PORT-BERGÉ
MADAGASKAR

Port-Bergé, 26 września 2017

Czcigodny Ksiądz Czesław Tomaszewski SJ
Referat Misyjny
Kraków

Dotyczy: list polecający

Czcigodny Księżu Czesławie Tomaszewski

Nasz region, dystrykty Mandritsara, Port-Bergé, łącznie z Mampikony obejmuje obszar 23 367 000 km², na którym żyje ok. 800 000 mieszkańców, którzy z utęsknieniem czekają na Ewangelię. Ewangelizowanie i przepowiadanie Dobrej Nowiny nie jest wyborem Kościoła, lecz jego obowiązkiem. Aby temu sprostać, musimy wybudować niewielki kościół, co ułatwi nam dalszą działalność. Nie ma bowiem mowy o rozwoju bez odpowiedniej infrastruktury.

Z tych racji przykładam dużą wagę do projektu budowy kościoła, który, wydaje mi się, jest bardzo potrzebny wiernym tego regionu. Dlatego popieram i polecam projekt ks. Henryka Sawarskiego, wikariusza biskupiego w mojej diecezji (członka Grupy Apostolstwa Bożego Miłosierdzia na Madagaskarze): projekt budowy kościółka w Antanagnivo, wiosce trędowatych. Kościół ten będzie miał za patrona bł. Jana Beyzyma, Apostoła trędowatych na Madagaskarze.

Licząc na Ojca przychyłność oraz spodziewając się pozytywnej odpowiedzi, proszę przyjąć moje szczerze pozdrowienia w Panu. Z góry bardzo dziękuję za wsparcie naszej misji.

Bp Georges VARKEY, M.E.P

Tłum. red.

Fianarantsoa, 20.01.2018

Witam Ojca, dzień dobry, szczęście Boże!

Przeszło tydzień temu rozpoczęliśmy zajęcia szkolne. Niestety, w zeszłym tygodniu przez północno-wschodnie wybrzeże Madagaskaru przeszedł destrukcyjny cyklon Ava.

Przemierzając się na południe wzdłuż wschodniego wybrzeża Madagaskaru, poczynił straszne zniszczenia. Media donoszą, że wskutek ataku cyklonu Ava zginęło około 30 osób, wiele uznanych zostało za zaginionych. Dziesiątki tysięcy osób musiano ewakuować. Cyklon zniszczył wiele ośrodków zdrowia, dziesiątki szkół. Dotarł ze swoją destrukcyjną mocą do naszego regionu Fianarantsoa, położonego ponad 100 km w linii prostej od wschodniego wybrzeża Madagaskaru. Tu, na skraju wyżyny (Les hauts plateaux centraux de Madagascar) ok. 1200 m n.p.m., zostawił po sobie ogromne zniszczenia.

Oto jego pokłosie: pozrywane linie elektryczne, zatopione hektary ryżowisk, uprawy ryżu pod wodą. Większość ryżowisk naszego regionu została zupełnie zniszczona. W tym roku nie będzie zbiorów! Niektórzy rolnicy usiłują jednak na nowo posadzić ryż...



Skutki cyklonu. Zniszczone domy, drogi, mosty i sieć energetyczna.

Zobaczymy, co z tego wyniknie. Drogi zniszczone, mosty pozrywane, ludzie mają trudności z przemieszczaniem się. Wszędzie pełno osuwisk. Na kilku zdjęciach, które Ojcu posyłam, widać ludzi przechodzących przez rzekę, bo mosty zostały pozrywane przez cyklon. Domy zawalone. Wiele osób zginęło pod gruzami walących się w nocy domów i pod osuwiskami. Budynki szkolne i sanitariaty – zniszczone. Ludzie nie mają co jeść. Z powodu cyklonu nasi uczniowie nie mieli lekcji przez trzy dni, ponieważ pójście do szkoły wiązało się z bardzo dużym ryzykiem, ze względu na zagrożenia, jakie niosły upadające drzewa, osuwająca się ziemia oraz wysoka woda w rzekach, które dzieci musiały przekraczać, idąc do szkoły. To krótki opis skutków cyklonu Ava, który przeszedł przez nasz region 5-7 stycznia 2018.

Obecnie, aż do końca marca, na Madagaskarze mamy okres licznych niszczycielskich cyklonów, które co roku przechodzą przez naszą wyspę.

A teraz, jeśli chodzi o nas: Pracujemy nad przygotowaniem całej dokumentacji dla uczniów, którzy niebawem będą zdawać państwowy egzamin. Wszystko będzie musiało się skończyć do marca. Oto kilka wieści od nas, z Fianarantsoa. Poza tym bez zmian, w porządku.

Dziękuję bardzo za Waszą życzliwość i pomoc materialną, tę już okazaną oraz tę, którą zechcecie nam okazać, abyśmy mogli szybko uporać się ze skutkami kataklizmu.

Z braterskim pozdrowieniem, pamiętając o Was w modlitwie,

*O. Parfait Raderandriny,
dyrektor Collège'u św. Franciszka z Asyżu
w Antamponjina, Fianarantsoa – Madagaskar*

Tłum. red.



PODZIĘKOWANIA

Madagaskar, 21 października 2017 r.

Teresa RAZAFINDRAKETAKA
do Darczyńców w Polsce

Szanowni Państwo,
po pierwsze chcę Państwu bardzo podziękować za Państwa pomoc. Ostatnio otrzymałam od Państwa tysiąc euro. Ta suma bardzo nam pomogła w kontynuowaniu funkcjonowania szkolnej stołówki w październiku 2017 r. Poniżej przedstawiam raport wydatkowania tych pieniędzy.

Obecnie w naszej szkole uczy się 95 uczniów, w tym 35 sierot, które korzystały (tylko one) z posiłków w szkolnej stołówce.



Szkoła Mampitsoa. Uczniowie na boisku przed szkołą.

WYSZCZEGÓLNIENIE	LICZBA DNI	LICZBA UCZNIÓW	WARTOŚĆ W EURO NA JEDNEGO UCZNIĄ	SUMA W EURO
DNI (ryż i klopsiki z mięsa albo fasola biała w sosie)	40	35	0,8	1120
SUMA				1120

Tak jak poprzednio, tylko chesne 12 sierot pozostaje jeszcze na moich barkach. Kwartalnie wynosi to 2 euro x 12 dzieci x 3 miesiące, co daje 72 euro (to kwota prawie dwóch miesięcznych pensji nauczyciela).

Świadoma aktualnej sytuacji dzieci w buszu mam wiele projektów pomocy im, ale nie mam na to wiele środków. Robimy jednak wszystko, co możliwe, aby poprawić życie dzieci, które przyszły do naszej szkoły Mampitsoa właśnie dzięki Państwa pomocy.

Ponieważ jestem już na emeryturze, poświęcam wszystkie moje siły i całe moje życie zawodowe, aby pomagać naszym dzieciom w szkole.

Jeśli tylko Państwo będą mogli jakkolwiek nam jeszcze pomóc, będziemy Państwu niezmiernie wdzięczni: uczniowie i ja z całym personelem szkolnym. Z różnych powodów sami nie jesteśmy w stanie zapewnić prawidłowego funkcjonowania naszego college'u.

Mamy nadzieję, że Państwo zechcą nam dalej pomagać.

W nadziei na otrzymywanie dalszej pomocy proszę przyjąć nasze najserdeczniejsze pozdrowienia.

*Teresa Razafindraketaka,
dyrektorka College'u Mampitsoa*

Tłum. red.



Posiłek w klasie.

KONKURS LITERACKI

BŁOGOSŁAWIONY JAN BEYZYM

ŻOŁNIERZ

Autor: Jakub Szlachcic, uczeń Gimnazjum nr 1 im. Jana III Sobieskiego w Libiążu
Opieka merytoryczna: mgr Lucyna Twardowska

1 SIERPANIA 1942 ROKU*

Już prawie czwarty miesiąc próbujemy zająć tę przekłętą wyspę... W samym moim oddziale ze stu dobrze wyszkolonych i uzbrojonych wojowników zostało zaledwie trzydziestu czterech wykończonych, chorych i głodnych niedobitków. W całej armii sytuacja ma się nie lepiej, szpitale są przepełnione nienadającymi się już do walki zmasakrowanymi żołnierzami, zwłoki zmarłych gniją na trzydziestostopniowym upale, grożąc zarazą, woda jest niezdatna do picia, brakuje sanitariuszy, leków, jedzenia, amunicji i broni. To istne piekło na ziemi! Na domiar złego Japońcy wypięli się na nas i o wsparciu ze strony ich floty możemy tylko pomarzyć. Nieustannie też napiera na nas fala tubylców i Brytyjczyków. No i jeszcze dzisiaj o piętnastej nasz „kochany” generał zamierza posłać nas na kolejną bitwę, bo albo się łudzi, że cokolwiek jeszcze uda nam się zdobyć, albo zamierza po prostu nas podobijać...

Jest w pół do trzeciej i ustawiłem się z moim oddziałem na placu, aby wysłuchać meldunku dowódcy:

– Bracia Francuzi! Nadszedł czas, abyśmy w końcu położyli kres temu „przedstawieniu”. Dziś dokładnie za pół godziny wyruszymy w stronę Antananarivo, czyli głównego posterunku wroga. Mam nadzieję, iż po naszym ataku miasto zostanie zrównane z ziemią i w końcu odzyskamy utraconą przewagę... – po czym odszedł dumnie w stronę swego namiotu.

Oznajmiłem moim ludziom, że mają piętnaście minut na przygotowanie się do wymarszu, i sam udałem się do mojego namiotu. Stałem nad kufrem, w którym trzymałem wszystkie potrzebne w walce przedmioty: rewolwer z jednym pełnym magazynkiem, niemiecki karabin snajperski z szesnastoma nabojami, stępiony ciężki nóż myśliwski i kilka innych mniej ważnych rzeczy. Po chwili zastanowienia stwierdziłem, że zabiorę wszystko ze sobą. Udałem się na miejsce zbiórki, gdzie dołączyłem do mojego smętnie wyglądającego oddziału. Generał wydał komendy:

– W dwuszeregu! W prawo zwrot! Wymaszerować!

I ruszyliśmy w stronę stolicy wyspy... Idziemy już zwartą grupą w milczeniu przez las, każdy ze zwieszoną

głową i ponurą twarzą, w zamyśleniu nad tym, co będzie, w zamyśleniu nad... Śmiercią. Z monotonnej ciszy wyrwał nas strzał z karabinu, gwałtownie odwróciłem się i ujrzałem kolejnego z moich ludzi upadającego twarzą na piach, a potem chmurkę dymu wydobywającą się zza krzaków jakieś sto metrów dalej.

– Do broni, strzelają do nas! – wrzasnąłem, żeby ostrzec resztę żołnierzy.

Po czym usłyszałem kolejny wystrzał oraz poczułem potworny, kłujący ból w prawym boku, zatoczyłem się i upadłem, straciłem świadomość...

Gdy się ocknąłem, w moim boku znów poczułem nasilający się ból, czułem się okropnie, myślałem, że to już koniec. Próbowałem się podnieść z... łóżka? Skąd się wzięło to łóżko? Myślałem, że zostałem na ścieżce i powoli będę umierał pośród lasu albo rozszarpie mnie jakieś dzikie zwierzę. Kiedy omiotłem oczami miejsce, w którym się aktualnie znajdowałem, zauważyłem, że jest to niewielki, biały namiot, a moja prycza stoi samotnie na środku. W pewnym momencie usłyszałem kroki, ktoś wszedł do namiotu, a ja postanowiłem, że dalej będę udawał śpiączkę, aby nie wpakować się przypadkiem w dodatkowe kłopoty. Jak później się zorientowałem do namiotu nie weszła jedna, ale dwie osoby. Był to prawdopodobnie (poznając po białym fartuchu) lekarz i brytyjski oficer. Wyteńczyłem słuch, aby podsłuchać, o czym mówią, cały czas nie zdradzając, że wybudziłem się ze śpiączki:

– Co z nim, doktorze? – spytał oficer, kierując swój wzrok na mnie.

– Dobrze nie jest, wdało się paskudne zakażenie... Trzymamy go na razie na prochach, ale długo tak nie pociągnie – wydał diagnozę, przyprowadzając mnie o dreszcze. Bałem się śmierci.

– Zastanawiam się, dlaczego od razu go nie dobiliśmy, tylko marnujemy na niego czas i leki – stwierdził oficer i wyszedł zdenerwowany z namiotu.

Sytuacja jest fatalna, jestem poważnie ranny, a na dodatek na łasce brytyjskich żołnierzy. Dobrze, że przynajmniej jako tako znam angielski. Zorientowałem się, że w namiocie znów zostałem sam i po chwili poczułem ogarniający mnie chłód. Wstrząsnęły mną drgawki, gorączka nasiliła się, aż w końcu odpłynąłem... Nie wiem, gdzie jestem... to jakieś ciemne pomieszczenie. Zacząłem iść w jedną stronę, potknąłem się i ujrzałem tuż przed sobą człowieka. Nie był to normalny człowiek, jego ciało pokrywały wrzody i bąble, odskoczyłem do tyłu przerażony. On wyglądał jak trup! W jednym momencie zorientowałem się, że naokoło mnie leży mnóstwo podobnych do niego ludzi, to był jakiś lazaret. Zacząłem uciekać, po chwili wpa-

* W 1942 roku na Madagaskarze toczyła się kampania wojenna pomiędzy siłami alianckimi a wojskami Francji Vichy.

dłem w ramiona zakonnika, jezuitę pracującego w szpitalu, spojrzałem w jego oczy i ujrzałem błogi spokój, który wypełnił również mnie. Zacząłem spadać, widziałem nad sobą rozmytą sylwetkę zakonnika, która w końcu w ogóle przestała być widoczna. Poczułem, ciepło, wręcz gorąc. Oglądałem się wokoło i ujrzałem najpotworniejszy obraz, jaki kiedykolwiek widziałem: to było piekło! Zacząłem krzyczeć w przerażeniu:

– Pomocy!!! Boże, ratuj, Panie! Nie chcę tak skończyć! Proszę! – i zacząłem szlochać jak dziecko.

Wtedy znów ujrzałem tego samego zakonnika, biło od niego osłepiające światło i w tym momencie ocknąłem się. I znów byłem z powrotem w białym namiocie szpitalnym, gwałtownie podniosłem głowę i zauważyłem, iż koło mojego łóżka siedzi sanitariuszka, piękna jak polny kwiat, pogłaskała mnie po czole i czule uspokoiła:

– Spokojnie, proszę się położyć, to tylko zły sen, to tylko sen – i wyszła po cichu z namiotu.

Po chwili wróciła razem z lekarzem, tym samym, którego widziałem, kiedy po raz pierwszy przebudziłem się w namiocie.

– Gorączka spadła – powiedziała sanitariuszka.

– Dobrze, oglądnijmy ranę – odparł i podniósł moją koszulę.

– Och, wygląda przerażająco, cała ropieje, przyniosę wodę i ręczniki, aby ją obmyć – powiedziała sanitariuszka i wyszła ponownie z namiotu.

Nie wiem, co się działo dalej, ponieważ ogarnął mnie błogi sen. Znów, tym razem przy mojej pryczy, ujrzałem tego samego zakonnika. Spojrzałem w jego spokojne oczy, a on milcząc, odsłonił moją ranę, poczułem piekący ból w jej miejscu. Zakonnik dotknął otwartą dłońią mojej rany i wtedy poczułem ukojenie bólu. Gdy znowu z wdzięcznością spojrzałem na jego twarz, przypomniał mi się Jezus. Muszę przyznać, że od zawsze byłem ateistą, ale po tym, co przeżyłem, coś się we mnie zmieniło.

2 SIERPNI 1942 ROKU

Gdy się rano ocknąłem w białym namiocie, moje oczy napotkały piękną i radosną twarz sanitariuszki. To, co powiedziała, zmieniło moją wiarę na zawsze:

– Jest pan zdrowy, rana zagoiła się i nie ma po niej najmniejszego śladu, to cud!

Uradowany i zdziwiony zarazem szybko podniosłem koszulę i spojrzałem na miejsce po ranie, nie zostało ani śladu. Zrozumiałem, że to sprawa tego zakonnika i dziękowałem mu w duchu, kimkolwiek był. W tej chwili do namiotu weszło dwóch brytyjskich żołdaków.

– Pójdziesz z nami – oznajmili krótko, ściągając mnie z pryczy.

Wyszliśmy z namiotu. Zauważyłem, iż jesteśmy w obozie Brytyjczyków i spytałem:

– Gdzie mnie prowadzicie?

Jednak żaden nie odpowiedział. Weszliśmy do innego namiotu, prawdopodobnie dowódcy lub ważnego oficera. Stanął przed nami wyższy rangą wojskowy i kazał tym dwóm posadzić mnie na krześle, a gdy wyszli, zaczął przesłuchanie:

– Proszę się przedstawić.

– Nazywam się Jakub Russo – odpowiedziałem krótko.

– Stopień? – zadał kolejne krótkie pytanie.

– Porucznik armii Wolnej Francji – odparłem, po czym sam zadałem pytanie: – O co chodzi, po co mnie ratowaliście, czego ode mnie chcecie?

– Współpracy, panie Jakubie, zależy nam, abyś zdradził nam najbliższe plany swojej armii.

– O nie, tego nigdy nie zrobię – odparłem i zamierzałem nie odezwać się już więcej.

– Tak też myślałem – stwierdził ów oficer, po czym zawołał dwóch żołnierzy.

Gdy weszli do namiotu, kazał mnie skuć i zostałem wyprowadzony na zewnątrz. Nie stawiałem oporu, nie miało to sensu. Doszliśmy w końcu do niewielkiej kamiennej komórki, w której zostałem zamknięty.

Gdy nastał wieczór i już zapadł zmrok, usłyszałem trzask zamka i postanowiłem stąd uciec, schowałem się za progim. Kiedy strażnik wszedł do środka, zarzuciłem mu na szyję łańcuch, w duchu przeproszając Boga za to, co robię, i skręciłem jego kark. Kiedy upadł na ziemię przeszukałem go. Znalazszy klucze, uwolniłem się od kajdan i szybko wybiegłem z więzienia. Zacząłem pędzić w stronę lasu, słysząc za sobą strzały i krzyki strażników, ale już nie mogli mnie złapać, byłem wolny.

PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ...

Wędrowałem ulicami powojennego Krakowa, który odwiedziłem w celach rodzinnych: przyjechałem do bardzo dawno nie widzianej ciotki. Przechodziłem obok kościoła i coś mnie tknęło, aby wejść się pomodlić...

Gdy wszedłem do kościoła, na ścianie w nawie bocznej ujrzałem obraz, na którym był namalowany ten sam jezuita, który śnił mi się w obozie Brytyjczyków na Madagaskarze. Pod wizerunkiem kapłana w towarzystwie dwóch bardzo zeszeconych na twarzach osób był podpis: „Ojciec Jan Beyzym SJ, Apostoł trędowatych”. Najpierw upadłem na kolana, a potem krzyżem, zacząłem szlochać i na głos dziękować i przeproszać za to, co uczyniłem. Nagle zorientowałem się, że stoi za mną ksiądz, jezuita, wstałem więc, i ze łzami w oczach podszedłem do niego i poprosiłem:

– Wyspowiada mnie ksiądz?

Poszedłem za nim do konfesjonału.

Po spowiedzi powiedziałem do owego zakonnika:

– Pragnę zostać jezuitą.

A on tylko się uśmiechnął i wskazał ręką ławę, na której siedząc, długo rozmawialiśmy.

WIELE LAT PÓŹNIEJ

Po wielomiesięcznych staraniach u przełożonych zakonnych, udało mi się zrealizować głębokie pragnienie mojego serca – wyjeżdżam na misję na Madagaskar. Pragnę bowiem naśladować ojca Jana i tak jak on nieść pokój i radość, a nie śmierć i pożogę.

WSPÓŁPRACA W DZIAŁALNOŚCI NA RZECZ MISJI

KOLĘDNICY MISYJNI W BYCZYNIIE 2018



W święto Trzech Króli, 6 stycznia 2018 roku, kolędnicy misyjni tradycyjnie zapragnęli z radością i dziecięcym entuzjazmem opowiedzieć w domach parafian o narodzeniu Chrystusa i misjach. Po Mszy św. o godz. 11.30 wyruszyło 10 grup kolędników, którymi było 40 uczniów i uczennic Szkoły Podstawowej i Gimnazjum (nie tylko z Kółka Misyjnego), a byli to m.in.: Zuzanna Jarczyk 3a, Karolina Jach 3a, Oliwia Kondoszek 3a, Filip Smreczak 3c, Ksawery Gęborski 3c, Karol Niedziela 3c, Kamil Ćwik 3a, Adam Majmurek 3a, Karolina Habowska 3a, Kacper Habowski 4b, Ksawery Kuciel 4b, Zuzanna Patucha 4c, Zuzanna Żmudzka 4c, Michał Błachut 4c, Paulina Solarz 4c, Karina Żurawik 4c, Karol Stocierz 4b, Kamil Banasik 5a, Seweryn Stocierz 5a, Piotr Dudek, Natalia Znamirowska 3a, Martyna Lichočka 3a, Jolanta Bielawa 4b, Emilia Żurawik 4b, Martyna Wawon 4b, Pola Szlachcic 4a, Agatka Grzegorzczak 4a, Wojciech Perończyk 4a, Bartłomiej Perończyk 1a, Goleń Patryk II gimnazjum.

Pod opieką dorosłych, w tym dwóch sióstr serafitek, dzieci – ciepło ubrane i w odpowiednich strojach z okolicznościowymi gadżetami – udały się w różne zakątki parafii z wcześniej przygotowanym krótkim

scenariuszem. Prawie wszędzie czekały na nich otwarte drzwi i życzliwe, ofiarne serca. Niektórzy okazywali zdumienie i zaskoczenie, inni byli wzruszeni i szczęśliwi, bo kolędnicy chcą przypomnieć, że Chrystus narodził się dla wszystkich, również dla tych, którzy są chorzy czy samotni albo mało Go znają. Zebrane podczas kolędowania ofiary (4980 zł) zostaną przeznaczone na pomoc dzieciom, szczególnie Mirynie i Fidelisowi z Domu Dziecka na Madagaskarze, a także na sierociniec w Boliwii, gdzie misjonarkami są siostry serafitki. Kolędowaliśmy do godz. 15.00, potem Siostry poczęstowały nas w klasztornych murach gorącą zupą pomidorową, herbatą i słodyczami. Jeszcze raz wszystkim mówimy: Za kolędę dziękujemy, zdrowia, szczęścia Wam życzymy na ten Nowy 2018 Rok!

Szczególne podziękowania pragnę złożyć Rodzicom, którzy czynnie i ofiarnie zaangażowali się w kolędowanie, a byli to: Monika Banasik, Edyta Jarczyk, Mariola Solarz, Jolanta Krasieńska, Justyna Bielawa, Justyna Szlachcic, Agnieszka Tura, Renata Busch, Renata Perończyk, Justyna Grzelak, Bartłomiej Dubiel.

S. Mariola Małgorzata Syjud



LISTY DZIECI

MADAGASKAR



Dzieci z sierocińca w Fianarantsoa, Madagaskar.


 Congrégation des Sœurs Saint-Jésus Baptiste
 BP - 1123 Ambatolahy
 101 Fianarantsoa - MADAGASCAR
 Tel : 00261324120553
 Mail : claudine.rivj@yahoos.fr



« C'est qu'aujourd'hui, dans la ville de David, il vous est né un Sauveur, qui est le Christ, le Seigneur. » Lc 2,11

Fianarantsoa 07 décembre 2017

Pour les parrains et marraines des enfants,

Que la joie et la paix du Seigneur soient avec vous !

J'espère que vous allez bien. Les enfants et moi, nous allons bien.

L'Année Scolaire a commencé le 03 Octobre 2017, le 05 octobre il y a eu la Messe d'Ouverture. Puisque l'Epidémie de peste est passé à Madagascar, les écoles sont fermées de 10 Octobre à 05 Novembre. Les enfants sont retournés à l'école le 06 Novembre. Ils feront l'Examen premier trimestre le 12 décembre. Le 22 Décembre les enfants iront en vacances de Noël : à 8h il y aura la messe à l'école, après les enfants de chaque classe représentent de chansons ou de danses et la classe de CM2 joueront l'histoire de la naissance de l'Enfant Jésus, puis la distribution de bulletins de note et enfin les enfants mangeront ensemble. La rentrée pour le deuxième trimestre sera le 08 Janvier 2018. Nous sommes en période de pluie, les enfants ont de difficulté pour arriver à l'école et pour rentrer à la maison.

Je profite de vous remercier de tout cœur pour vos aides à nos enfants. Grâce à vous, ils puissent fréquenter l'école et vivre mieux. Je vous remercie déjà pour tout ce que vous ferrez encore. Que le Seigneur source de toutes grâces vous récompense et vous comble de grâce dont vous avez besoin dans votre vie.

Les enfants, nos sœurs et moi, nous vous souhaitons : « Bonne fête de Marie Immaculé, Bon temps de l'Avent, Joyeux Noël 2017 et Bonne Année 2018. Que l'Enfant Jésus vous porte de Joie, de paix et d'amour. Tous nos vœux de bonheur, de réussite, de prospérité et d'excellente santé pour vous et l'ensemble de votre famille. Joyeuses fêtes.

Nous vous embrassons bien fort et vous assurons dans nos prières!



La Sœur responsable

Sr. Claudine

Zgromadzenie Sióstr św. Jana Chrzciciela
 BP: 1123 Ambatolahy
 301 Fianarantsoa MADAGASKAR

„Dziś w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan” (Łk 2,11)

Fianarantsoa, 7 grudnia 2017 r.

Czcigodni Państwo, Opiekunowie naszych dzieci.
 Niech radość i pokój Chrystusa będą z wami!

Mam nadzieję, że Państwo mają się dobrze. U nas wszystko w porządku.

Rok szkolny rozpoczęliśmy 3 października 2017. 5 października uczestniczyliśmy we Mszy św. na rozpoczęcie nowego roku szkolnego. Jednak już od 10 października, w czasie gdy na Madagaskarze srożyła się epidemia dżumy, aż do 5 listopada wszystkie szkoły musiały być zamknięte. Dzieci na nowo rozpoczęły naukę 6 listopada, a już 12 grudnia mają odbyć się egzaminy pierwszego kwartału. Od 22 grudnia dzieci pójdą na ferie świąteczne. Tego dnia o godzinie 8 rano będą uczestniczyć w szkolnej Mszy św. Następnie dzieci z każdej klasy będą śpiewać pieśni świąteczne lub tańczyć, a uczniowie klasy CM2 [piąta, ostanía klasa szkoły podstawowej na Madagaskarze] odtworzą historię narodzin Dzieciątka Jezus. Następnie zostaną rozdane świadectwa i wreszcie wszyscy zasiądziemy do wspólnego posiłku. Powrót do szkoły na drugi trymestr przewidziany jest na 8 stycznia 2018 roku. Mamy teraz, na Madagaskarze, porę deszczową. Dzieci mają trudności z dotarciem do szkoły, a po lekcjach do domu.

Pragnę w tym miejscu wyrazić naszą ogromną radość i wdzięczność za pomoc, którą Czcigodni Państwo niesiecie naszym podopiecznym. Dzięki niej dzieci mogą uczęszczać do szkoły i w ogóle lepiej żyć. Dziękuję Państwu także, już teraz, za wszystko, co Państwo jeszcze dla nas zechcą zrobić. Modlimy się, aby nasz Pan, źródło wszystkich łask, wynagrodził Państwu i napełnił Państwa łaską, której potrzebujemy w naszym życiu. Dzieci, wspólnota sióstr pracujących w sierocińcu oraz ja życzymy Czcigodnym Państwu: rado-

snego święta Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, dobrego Adwentu, oraz wesołych Świąt Bożego Narodzenia, a także szczęśliwego Nowego Roku 2018. Niech Dziecię Jezus przyniesie Państwu radość, pokój i miłość. Życzymy Państwu i Państwa Rodzinom dużo szczęścia, sukcesów, dobrobytu i doskonałego zdrowia. Wesołych świąt!

Ściskamy Państwa serdecznie i zapewniamy o naszej pamięci modlitewnej.

Siostra przełożona
Claudine Rasoanjanahary



Podczas posiłku w klasie.



Drodzy nasi Opiekunowie, witamy Was serdecznie

Dzień dobry!

Bardzo dziękujemy za wszystko, co dla nas robicie. Dzięki Waszemu wsparciu możemy tyle się nauczyć i poznać wiele nowych rzeczy.

Chcemy Wam podziękować za tyle rzeczy, ale nie jest nam łatwo napisać.

Życzymy Wam wesołych świąt Bożego Narodzenia oraz dobra i pomyślności w Nowym Roku 2018.

Hasina, nr 26 (w klasie), ukończył szkołę średnią pierwszego cyklu i zdał egzamin BEPC (dyplom po ukończeniu 9 klasy – ostatniej klasy szkoły średniej pierwszego cyklu) i chce nadal uczyć się w technikum. Miora, jego najmłodsza siostra, ukończyła szkołę podstawową, zdała egzamin CEPE (dyplom ukończenia nauczania podstawowego) i obecnie chodzi do pierwszej klasy szkoły średniej I cyklu (klasa 6).

Chcemy Wam z radością powiedzieć, że ten list piszemy w imieniu całej naszej grupy. Wszyscy podpiszą się pod spodem.

Podpisy:

Tolotra, nr 27

Jean Claude, nr 22

Claudia, nr 25

Elie, nr 24

Miora, nr 21

Marie Claudia, nr 23

Hasina, nr 26

Dauphin, nr 20

*vous et on vous
remercie de passer une très bonne et heureuse
année.
vous vante d'avoir le diplôme
du BEPC. Il voudrait étudier au lycée
pour continuer sa scolarité à ce
niveau. Elle est actuellement en classe de
6^e.
Nous sommes heureux de signer pour vous
des lettres au nom de nous tous qui
sont dans la classe.
- Tolotra n°27
Jean Claude n°22
Claudia n°25 Elie n°24 Miora n°21
Marie Claudia n°23 Hasina n°26 Dauphin n°20*

CZARNE PISKLETA IGNAŚ POZNAJE APOSTOŁA MADAGASKARU

Podczas malowania wielkanocnych pisanek...

Ignas:

Dziadziu, pomóż mi, zrobiłem plamę! Pomyliłem pędzelki i zamiast użyć czystego do namalowania kurczaczka, wziąłem brudny pędzel. Wyszło mi czarne pisklę zamiast żółtego!

Dziadek Antoni:

Oj, rzeczywiście nie jest żółty, ale Ignasiu, nawet nie wiesz, jak się cieszę z tego powodu! Opowiem ci pewną historię. Dawno temu, bo minęło już ponad sto lat, żył pewien człowiek. Nazywał się Jan Bezym. Gdy miał 22 lata (było to dawno temu – w 1872 roku), postanowił, że zostanie księdzem – jezuitą. Służył jako kapłan w niejednym miejscu, ale ciągle czuł wielkie pragnienie wyjazdu na misje. Został w końcu misjonarzem na Madagaskarze.

Ignas (zamyślił się):

Hm, to chyba bardzo daleko...

Dziadek Antoni:

Oj tak, daleko... Madagaskar to duża wyspa położona na Oceanie Indyjskim w Afryce. Na Madagaskarze ojciec Jan zaopiekował się ludźmi, których z powodu choroby wszyscy opuścili. Ludzie ci zmagali się z trędem, którego nie można wyleczyć, ale za to można się nim łatwo zarazić.

Ignas:

Słyszałem o trędowatych na katechezie. Pan Jezus ich uzdrawiał.

Dziadek Antoni:

Tak. I ojciec Jan zapragnął także, jak Pan Jezus, zająć się tymi cierpiącymi ludźmi. Opiekował się nimi,

służył jako ksiądz, nawet zbudował dla nich szpital. A wiesz, jak mówił o swoich podopiecznych?

Ignas:

Oj, nie zgadnę...

Dziadek Antoni:

Mówił do nich „moje czarne pisklęta”.

Ignas:

A dlaczego tak?

Dziadek Antoni:

Pewnie dlatego, że mieli czarną skórę, byli bezbronni jak pisklęta, a ojciec Jan zaopiekował się nimi jak niewinnymi małymi ptaszętami. On wierzył, że także trędowaci mogą szybować jak orły. Zobacz teraz na swoją pisanekę – nie przypomina ci o tej historii?

Ignas:

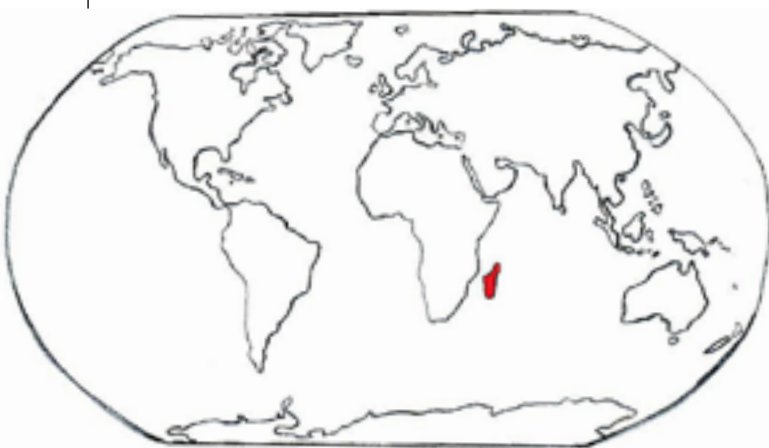
Ojej, dziadziu! Teraz to już nie jest brzydkie pisklę, ale najpiękniejsze, bo dzięki niemu poznałem błogosławionego ojca Jana Bezzyma. I przypomniałem sobie, że uwielbiam, jak opowiadasz mi takie piękne historie.

Dziadek uśmiechnął się do małego Ignacego, z czułością pogłaskał go po jasnych włosach i zapytał:

Czy mogę ci pomóc pomalować pozostałe jajka? Jeśli skończymy szybciej, to w kościele będziemy mieli więcej czasu, by jeszcze poprosić ojca Jana o wstawiennictwo.

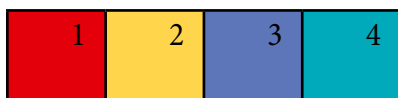
Ignas:

Hurra! Dziadziu, pomóż mi, koniecznie!



Zadanie 1.

Odkoduj wyraz.



Ojciec Jan założył szpital dla trędowatych w miejscowości:

1	2	3	2	4	2
---	---	---	---	---	---



Zadanie 2.

Zapoznaj się z poniżej podanymi ciekawostkami dotyczącymi Madagaskaru.

Czy wiesz, że...

Madagaskar jest głównym krajem, skąd sprowadzana jest na cały świat wanilia?

Madagaskar jest wielką wyspą, czwartą co do wielkości na świecie?

W historii Madagaskaru pojawił się, poza Janem Bezymem, jeszcze jeden ważny Polak. Był nim Maurycy Beniowski, który został ogłoszony w 1776 roku królem Madagaskaru!



Zadanie 3.

Pokoloruj wielkanocny koszyk.

MISYJNE KONTA BANKOWE

REFERAT MISYJNY TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO PROWINCJI POLSKI POŁUDNIOWEJ

Mały Rynek 8, 31-041 Kraków
www.misyjnym-szlakiem.pl
e-mail: procmisspme@gmail.com
misje@misyjnym-szlakiem.pl



NR KONTA W POLSCE:

(wpłaty w PLN) – 50 1240 2294 1111 0010 2222 3570

(wpłaty w USD) – 52 1240 2294 1787 0010 2300 2206

Dla wpłat spoza Polski (wpłaty w USD):

Bank: PKO SA III O/KRAKÓW; swiftcode: PKOPPLPW

IBAN: PL52 1240 2294 1787 0010 2300 2206

NR KONTA W CHICAGO:

Nazwa Banku: CITIBANK, N.A.

Routing # (czyli numery banku): 271070801

Nazwa konta: THE POLISH MESSENGER, Account # 0801180175

Dopisek: na jaki cel misyjny

Wpłaty czekami można wysyłać na adres:

The Polish Messenger of The Sacred Heart

4105 N Avers Ave

Chicago, IL 60618

Dopisek: MISJE

REKLAMA

ZAPRASZAMY NA PIELGRZYMKI



WŁOCHY – nowe miejsca 27.04-08.05.2018 749 zł + 430 euro
MENTORELLA – tam św. Jan Paweł II był 54 razy. SERRACAPRIOLA – grób o. Matteo słynnego egzorcysty, ciągle egzorcyzmuje, COLLEVALENZA – Sanktuarium Miłości Miłosiernej, św. Rita, św. Ojciec Pio, Monte San Angelo, RZYM i TRE FONTANE – nieznanne miejsce objawień Matki Bożej w Rzymie w miejscu, gdzie był święty św. Paweł. POMPEJE – Matka Boża Pompejańska.

MEKSYK z GUADALUPE	12-26.04.2018	4800 zł + 1450 USD
ZIEMIA ŚWIĘTA – weekend Bożego Ciała	25.05-02.06.2018	1950 zł + 480 USD
MEDJUGORIE – 37. rocznica Objawień	20-30.06.2018	699 zł + 299 euro
MEDJUGORIE z wypoczynkiem nad Adriatykiem	6-17.08.2018 19-30.07.2018	649 zł + 380 euro
SANTIAGO DE COMPOSTELA – pieszo i autokarem – do św. Jakuba,	15-31.07.2017	999 zł + 670 euro
FATIMA – autokarem – Ars – Avignon – Barcelona – Saragossa – Toledo – Lourdes – Carcassonne – La Salette	12-26.08.2017	999 zł + 670 euro
FATIMA – samolotem	20-25.08.2018 22-27.10.2018	2999 zł 2999 zł

ALFA-TUR Biuro Turystyczno-Pielgrzymkowe ■ ul. Horbaczewskiego 29b ■ 54-130 WROCLAW
tel./fax +48 71 352 23 19 ■ +48 601 788 190 ■ e-mail: info@alfa-tur.pl ■ www.alfa-tur.pl

Wpłata na konto:
REFERAT MISYJNY
TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO
PROWINCJI POLSKI
POŁUDNIOWEJ
Mały Rynek 8, 31-041 Kraków
50124022941111001022223570

kwota

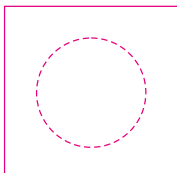
imię i nazwisko / nazwa zleceniodawcy

adres:

Tytułem

NIP

Wyrażam zgodę na przetwarzanie w celach marketingowych moich danych osobowych, które przekazuję dobrowolnie.
czytelny podpis:



opłata:

podpis

nr rachunku odbiorcy

REFERAT MISYJNY
TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO PROWINCJI POLSKI POŁUDNIOWEJ
Mały Rynek 8, 31-041 Kraków

nr rachunku odbiorcy

5012402294 1111001022223570

W P P L N

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

imię i nazwisko / nazwa zleceniodawcy

imię i nazwisko / nazwa zleceniodawcy cd.

tytułem

tytułem cd.

06

opłata:

pieczęć / data / podpis zleceniodawcy

odcinek dla banku / odbiorcy